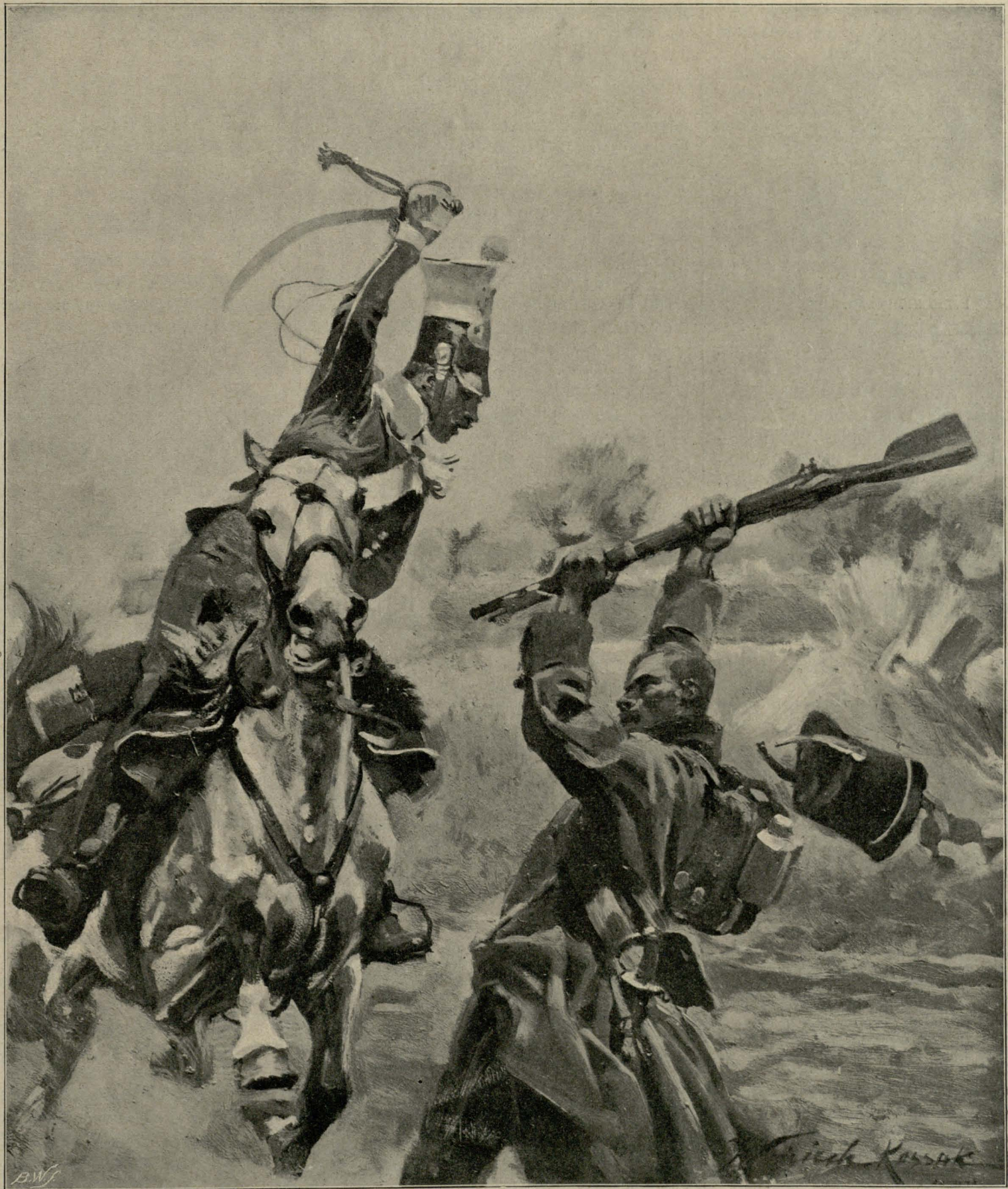


TYGODNIK ILLUSTROWANY



SZTAFETA
Z T. Z. S. P. w Warszawie.

WOJCIECH KOSSAK

W jednym z listów swoich pisze Mickiewicz, że żywi jakiś wstręt do „wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie, i królów, których niema w hstoyi”. Słowa te doskonale określają rodzaj fantazyi Mickiewicza, fantazyi typu plastycznego, która budowała świetliste gmachy poezyi nie z mgły i nie na tkance pajęczej, tylko z marmuru i na granitowym fundamencie realnej prawdy. „Grażyna”, pomimo fikcyjności wy-



Feliks Kułakowski.

stępujących w niej osób, posiada korzenie, głęboko w rzeczywistość, w prawdę dziejową wrosłe, a i „Konrad Wallenrod”, pomimo wszystkich swoich anachronizmów i licencji, ma swoje „tło historyczne”, należyte już zbadane i wyjaśnione przez Nehrnga i Bruchnalskiego. Natomiast nie zajmowano się dotychczas prawie zupełnie zbadaniem tła historycznego „Pana Tadeusza”, pomimo że, jeśli który utwór Mickiewicza, to właśnie „Pan Tadeusz” należy do szeregu tych utworów naszej poezyi XIX-go wieku, względem których (jak się tego słusznie domagał Askenazy w artykule „Na marginesie Kordyana”) „narówni z krytyką czysto literacką powołaną jest do pracy właściwa krytyka historyczna”. Otóż niechaj wolno będzie wyrazić życzenie, aby tej pracy nad „Panem Tadeuszem” podjął się p. Henryk Mościcki: byłaby to bowiem niewątpliwie praca poważna, ściśle naukowa, wykonana z sumiennością badawczą i z pietyzmem dla poezyi Mickiewicza, słowem, praca, te same posiadająca zalety, jakimi się odznacza świeżo ogłoszone jego studium pod tytułem „Wilno i Warszawa w „Dziadach“ Mickiewicza”, poświęcone zbadaniu tła historycznego trzeciej części „Dziadów”.

Książka ta zapełnia dotkliwą lukę w literaturze krytycznej o Mickiewiczu. Nie braknie wprawdzie studyów o trzeciej części „Dziadów” (żeby przypomnieć tylko dwa najcenniejsze, znakomite: Kallenbacha o genezie „Improwizacji” i Kawczyńskiego o jej stosunku do prometejskiej poezyi francuskiej i niemieckiej), lecz ich przedmiotem jest prawie wyłącznie strona subiektywna dramatu: rozbiór „Improwizacji” i odgadywanie nieodgadniętej zagadki o mężu strasznym, którego imię czterdzieści

i cztery. Tłem zaś historycznym dramatu, to jest wyjaśnieniem stosunku wizyi poetyckich Mickiewicza do prawdy dziejowej, zajmowano się bardzo niewiele; wyjaśniono zaledwie kilka szczegółów, i dopiero p. Mościcki wyjaśnił gruntownie tę wielce doniosłą dla historii literatury sprawę, on pierwszy dał pewną i jasną odpowiedź na narzucające się każdemu pytanie: czy wstrząsający obraz męczeństwa i prześladowania młodzieży w trzeciej części „Dziadów” jest zgodny z prawdą, czy nie, innymi słowy: czy jest w nim tylko prawda artystyczna, czy też i historyczna?

Niełatwą było rzeczą na to pytanie odpowiedzieć. Trzeba było sprawdzić niejako wszystkie przeżycia Mickiewicza z owej epoki, zestawić jego świadectwo ze świadectwami innych uczestników i widzów; trzeba było zbadać krytycznie wypadki i poznać dowodnie ich wszystkich sprawców, zarówno katów, jak ofiary.

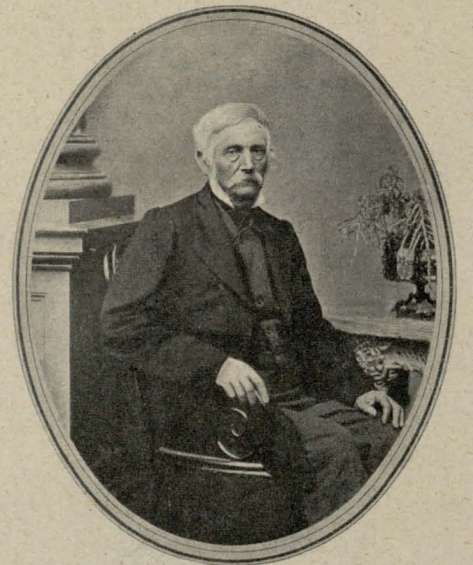
Tę całą pracę wykonał właśnie p. Mościcki bardzo sumiennie, nie szczędząc trudu i mozółu. Historia stowarzyszeń młodzieży wileńskiej: filomatów, „Towarzystwa myślącej młodzieży”, promienistych i filaretów — w Wilnie; „Towarzystwo miłośników literatury ojczystej” i „Towarzystwo moralne” — w Świsłoczy; „Bracia Czarni” — w Krożach; młodzież szkolna w Kiejdanach, w Kownie, w Poniewieżu; a potem, historia śledztwa i prześladowania, jego sprawcy i wykonawcy: senator Nowosilcow, gubernator Rymkij-Korsakow, prokurator Botwinko, policmajster Szyłkow, członek komisji śledczej Ławrynowicz; szpiegi, denuncjanci i zauszniczy Nowosilcowa: Bajkow, profesor Bécu i *tutti quanti*; wreszcie salony warszawskie i męczeństwo młodzieży warszawskiej (Machnicki i Cichowski!): oto co stanowi obfitą i bogatą treść książki p. Mościckiego.

A jej ostateczny wynik? „Cały aparat dziejowy, spożytkowany w trzeciej części „Dziadów”, znajduje potwierdzenie przy skrzętnej analizie historycznej” (str. 2). I dlatego „trzecia część „Dziadów” jest dla nas dzisiaj i po wszystkie będzie czasy *wierną*, a niezapomnianą księgą narodowej martyrologii, bolesną skargą, z kochającego i cierpiącego wydartą

serca, wreszcie wielką natchnioną pieśnią, streszczającą w sobie wszystkie łyzy, bóle i pragnienia narodowej sprawy męczenników. W tem jej doniosłość, moc i niepożytość“ (str. 145).

A więc męczeństwo Janczewskiego, czy „Cichowskiego“, czy „Rollisona“, niktzemność, okrucieństwo, cynizm Nowosilcowa, niegodziwość profesora Bécu i t. d., i t. d., to wszystko prawda, niezbita i niewzruszona, bo stwierdzona dokumentami, prawda! Więc trzecia część „Dziadów” to nie tylko wielka, natchniona poezya, ale i dokument historyczny, straszny, krwawy, a tak wielki, tak podniosły i podnoszący! Więc teraz dopiero rozumiemy, że najczystsza prawdę napisał w przedmowie Mickiewicz:

„Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, *nic nie dodając i nic nie przesadzając*“. Tak! Są w trzeciej części „Dziadów” licencje w przetwarzaniu szczegółów, jest „wymysł” poetycki, ale „dodatków“, ani przesady niema.



Adam Suzin.

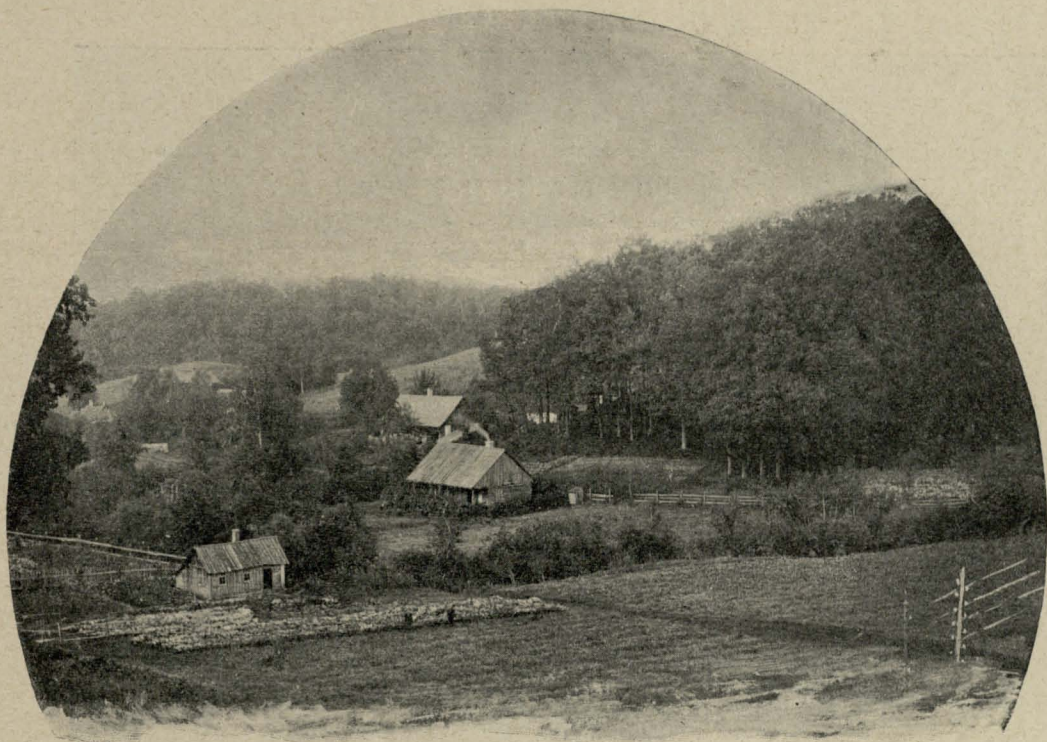
To, że cierpiął nie Rollison, tylko Molleson; że Cichowski jest Machnickim, że w żadnym dokumencie nie zapisano, czy z ust Szyłkowa naprawdę padły cyniczne słowa: „Dzie sięć funtów, zgadza się z przepisana wagą”: to wszystko rzeczy nie zmienia; łupina inna, lecz jądro to samo; forma zmieniona, a raczej przetworzona przez genialnego artystę, ale treść nie tknięta przez wielkiego apostoła Prawdy...

Cóż z tego, że nie wiemy, czy naprawdę pani Mollesonowa błagała Nowosilcowa o litość dla syna? Ale wiemy, że błagał nieszczęśliwy Franciszek Janczewski, ojciec Cypryana — tego, o którym opowiada Sobolewski, błagał, „abyś J. W. Pan raczył łaskawie, jeżeli nie przez wzgląd na dziecinne lata jego i z nich idące niedoświadczenie, to przynajmniej przez wzgląd na boleść rodzicielską i te łyzy, którymi oblewam dobroczynną pańską ręką, być protektorem syna swego w obliczności Tronu“. Odpowiedź Nowosilcowa brzmiała: „Lu-



Zakret pod Wilnem, miejsce wycieczek Filaretów.

* H. Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach“ Mickiewicza, z 23 rycinami. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1908. Cena rb 1 kop. 80.



Markucie pod Wilnem, miejsce wycieczek Filaretów.

bo pojmuję, jak boleśnie być musi dla serca dobrych rodziców, którzy dzieci swoje starannem wychowaniem i drogą cnoty do wierności swemu Monarsze i szanowania praw krajowych prowadzili, widzieć się tak dalece zawiedzionymi w nadziejach swoich: atoli, gdy Najjaśniejszy Cesarzewicz z Najwyższego zatwierdzenia okoliczność tę pod decyzję prawa poddać osądził, zatem od opieki tychże praw ulgi losu dla syna Jego oczekiwać wypada". Tych dwu dokumentów dosyć, aby się przekonać, czy Mickiewicz „dodał“ coś do obrazu rozpaczony pani Rollisonowej, albo czy „przesadził“ w charakterystyce Nowosilcowa.

Albo jeszcze. Wiadomo, w jakim świetle ukazuje się w „Dziadach“ profesor August Bécu, ojczym Słowackiego. Słusznie mówi autor, że „wszystko, co o doktorze napisał Mickiewicz, jest wielce prawdopodobne, możliwe“; ale nie ma słuszności, kiedy dodaje: „Być może, iż poeta nieco przesadził, charakterystyka jednak Augusta Bécu w „Dziadach“ niewątpliwie zgodną jest z ówczesną

o nim opinią litewskiego społeczeństwa“ (str. 133). Nie, nie przesadził Mickiewicz: charakterystyka doktora jest zgodna nie tylko z ówczesną o nim opinią, ale i z rzeczywistością, czego niezbitym dowodem jest przytoczony przez autora szczegół (str. 132), że doktor, mogąc ocalić jednego z uczniów, za denuncyował go. Tego chyba dosyć!

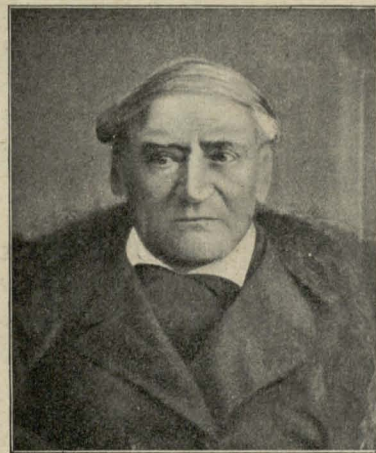
Wierny swojemu głównemu zadaniu, zajęty wyłącznie krytyką historyczną, nie wyzyskiwał autor bogatych wyników swojej pracy w celach krytyki literackiej. A byłoby to zadaniem wysoce ponętnem i wdzięcznym, porównać np. genialne w swojej piękności plastycznej i uczuciowej opowiadanie Sobolewskiego o kibitkach z prozaiczną relacją Lelewela i Twardowskiego o wywiezieniu „Braci Czarnych“ z Wilna (w liście do Czarotoryskiego), oraz z przytoczoną przez autora relacją policyjną (str. 98). Nie mniej ciekawą jest wiadomość o kazaniu ks. Michała Bobrowskiego, wygłoszonym po wywiezieniu uczniów szkoły kiejdańskiej: „Uciemężona niewinność wzywa do Boga o pomstę, a Bóg, jako

sędzia sprawiedliwy i świadek serc ludzkich, wyniesie cnotę, przestępstwo zaś ukarze, jeśli nie w tem życiu, to w przyszłym. Wówczas radować się będą ci, co tu płaczą niewinnie, a winowajcy tego płaczu pogrążeni będą w wiecznym smutku. Drżycie, mężowie, coście sprzedali sprawiedliwość, życie minie, jak sen, a tylko sprawiedliwi zbudzą się do szczęścia“. To odwołanie się do Boga, jako do ostatecznej i bezwzględnej Sprawiedliwości, znajdzie się i w trzeciej części „Dziadów“, w owych wierszach, któreby stanowiły ich koronę, gdyby nie było „Improwizacyi“:

Spojrzałem w pusty kościół i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą Ciało i Krew Pańską,
I rzekłem: „Panie! Ty, co sądami Piłata
„Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata!
„Przyjm tę z pod sądów ofiarę dziecinną,
„Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną!“

I tak na każdym kroku studium p. Mościckiego dostarcza krytyce literackiej, psychologiczno-artystycznej, wiele cennego materiału, pod postacią wykrytych lub sprawdzonych *faktów*, *szczególów życiowych*, o wiele dla krytyki cenniejszych, aniżeli wątpliwe i nie sprawdzowe reminiscencye z „Fausta“ i „Prometeusza“ Goethego albo z „Możeszsa“ Alfreda de Vigny.

Należą się też autorowi słowa szczerego uznania za jego książkę, która jest pięknym dowodem jego pracowitości i umiłowania nauki, jego gruntownych studyów i metody, dowodem, nie pierwszym zresztą—i z pewnością nie ostatnim: przecie nie wszystkich uczonych wykołaja życie warszawskie, nie dla wszystkich jest nasze „wesołe miasto“ Kapuą.

Onufry Pietraszkiewicz.
Sekretarz Towarzystwa Filaretów.

GABRYELA ZAPOLSKA:

TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOWELA.

2)

Pierwsza konsultacja, nowe badania, asystent, doktor, świeża słuchawka, to tu, to tam... tak, coś nowego stanowczo. Jakiś błysk. A potem ta recepta w rękę, jakby rąbek szaty ulatującego anioła. I choć targa coś koło serca, szalenstwo! nowa słuchawka musiała pochwytać nowy rodzaj rżenia. Ten prawdziwy, ten, który właśnie jest przyczyną, że to coś, bijąc wielkimi skrzydłami, ulata.

Więc dlatego sanatorium pełne.

Kobieta o twarzyczce Madonny nie jest właściwie bardzo chora. Niedokrewna, trochę nerwowa. Ale i dla takich miejsce pomiędzy chorymi być musi.

Kobieta o twarzyczce Madonny zmienia

codziennie białe tualety kilkakrotnie. Lato jest bajeczne, i biały kolor jest w modzie. Tylko w pokoju madonna nosi zielony mdławy szlafroczek. Wychyla się wtedy często z okna, a rozchylone rękawy opadają na pęki róż, jak skrzydła jakiegoś fantastycznego ptaka, który spoczął na chwilę.

Ponad oknem słodkiej pani otwierać się zaczyna także dość wcześnie drugie okno. Przechyla się zeń ktoś, ledwo odziany, jakiś mężczyzna.

Przytrzymuje jedną ręką kurtkę płócienną u szyi i przez gęstwę róż stara się dojrzeć, co się dzieje na dole. Gdy zielona kre-

pa, biała gaza i złote włosy zamigocą, przechyla się jeszcze więcej.

— Dzień dobry pani—mówi łagodnie.

Słodka pani podnosi swą twarzyczkę i roztwiera śliczne oczy.

— Al... to pan!...—mówi tak słodko, tak miło, tak rozkosznie.

A panu w oknie zdaje się, że z wonią róż i ten głos, i ten uśmiech tak dziwnie miło wita go o rannych chwilach.

— Jakże pana zdrowie?—pyta dalej pani, przechylona, podana naprzód, cała jakby ulecieć chciała na drugie piętro szwajcarskiego domku.

— Lepiej mi—odpowiada pan,



PRZED KOŚCIOŁEM
Z wyst. król. akad. w Londynie

TERRICK WILLIAMS

I rzeczywiście jest mu w tej chwili lepiej. Strzykanie w nogach od czasu do czasu, ale on w tej chwili, pochylony nad kłombem najcudniejszych uśmiechów, zrywa je delikatnie i o bóle swe nie dba.

— Jedziemy dziś do Wiednia?—zapytuje, wisząc cały, jakby miał wypaść lada chwila.

— Lękam się, że pan się zmęczy.

I wzrok trwożny, lękliwy.

— Cóż znowu! Jestem na pani rozkazy. Po zabiegach. Dobrze?

— Skoro pan tak chce koniecznie.

— Ależ naturalnie. Do widzenia.

— Do widzenia!

Mdlejąco i miło.

— Do widzenia!

Przeginają się jeszcze. Przechylają ku sobie. Wpatrzyli się sobie w oczy, w usta.

— Do widzenia!

Wreszcie cofnęli się do pokojów. Teraz ona naciera piegi coldcreamem i benzoesem, a on przymierza nowe jasne buty na dziwnie zdrętwiałe nogi.

— Profesor nie kazał mi męczyć się—myśli—ale niech go dyabli... pojedę, choć wiem, że, gdybym powiedział jej, że cierpię, nie skrzywi się. To anioł! Tak słodkiej istoty nie spotkałem jeszcze w życiu. Jak z bajki.

III.

Idą w Wiedniu, w Ringstrasse.

Ona białe i on białe. Oboje są wcale sznittowni. On utyka trochę, ona zasłania się od słońca parasolką.

Idą bez celu i gawronią się po sklepach. Znają je już na pamięć. Ale to tu, to tam jakiś drobiazg, jakaś tandeta wabi ją, jak ptaka zwierciadło.

— Och! torbeczka z zegarkiem!... Och! klamra dziwna... jakaś żmija, wysadzana amethystami... jakież to śmieszne... widzi pan?...

— Podoba się pani?

— Nie. Tylko tak. Ciekawe.

On notuje sobie w myśli adres sklepu. Idą dalej.

— Widzi pan... widzi pan.

— Co? co?

— Ta parasolka. Cała w cień. Inkrostowana koronką.

— Podoba się pani?

— Nie. Tylko tak.

On znów notuje w pamięci firmę.

Jakże chętnie zakupiłby to wszystko, rzuciłby jej pod stopy. Tem bardziej, że jest dziwnie delikatną w swych zachwytach. Mija jubilerów, wystawy Zwiebacka i inne drogie firmy. Zatrzymuje się tylko przed świecącymi drobiazgami. I tak słodko, tak rozkosznie się uśmiecha, mówiąc swoje:

— Tylko tak!

On maca portfel, napelniony średnio,

ale mogący zadowolić takie skromne, delikatne kaprysy. Właściwie sam nie wie, co będzie, bo ta dama jest dla niego jakby zagadką. Sądził, że jest panną, jakąś artystką. Lecz ona ze smutnym wionięciem swych rzęs nieporównanych powiedziała, że jest rozwódką, i to zupełnie prawną, z wszelkimi formalnościami.

— Rozwiodłam się.

— O! dlaczego?

— Nie był dobry.

— O! jakże dla pani można być niedobrym.

Owinęła się w swój prymitywny welon, bo siedzieli wieczorem w altance, w parku, daleko od wszystkich.

— A jednak był niedobry.

Umilkła chwilę, a potem dodała z nieokreślonym wdziękiem w głosie:

— A nawet bił mnie.

On rzucił się pomimo osłabienia.

— Niegodziwiec!

Powstrzymała go łagodnym ruchem ręki.

— Niech pan się uspokoi. On jest gdzieś bardzo daleko.

Odsapnął trochę.

— Jego szczęście.

Gdy w nocy pozostał sam, długo zasnąć nie mógł. Jego kult dla kobiet zaczynał z latami przybierać rycerskość starokawalerską.

(DCN)

Mówił to bez gniewu, jakby zmęczony, tylko chwilami głos mu się załamywał. Pan Klemens popatrzył na niego... Nagle wstał i uściśnił mu rękę.

— Proszę pana—mówił z wolna—pan jest człowiek bardzo szlachetny, ale... straszny idealista!... No, a kto jest aż takim idealistą, nie powinien brać się do polityki, bo może zginąć bez potrzeby, nic nie zrobiwszy...

Powiedziawszy to, pan Klemens wyszedł z kancelaryi, ale Świrski siedział bez ruchu. Ten pan Klemens, skromny rządca, czy administrator cudzego majątku, nagle wyrósł w jego oczach na jakąś wielką figurę...

— Ciekawym, czem on jest?... — rzekł do siebie. — Po chwili jednak wrzucił ramionami, czując, że cała ta sprawa nic a nic go nie obchodzi. Pan Klemens, oczywiście jakiś dygnitarz powiatowy w partii umiarkowanej, proponował mu urząd łapacza i zabijaki, jemu, który chciał być wodzem i wskrzesicielem narodu, następcą Kniaziewiczów, Chłopickich, Dąbrowskich, nawet Kościuszki... On, Świrski, który gardził pokątnymi zabójstwami, a już nigdy nawet nie pomyślałby o śledzeniu kogoś, on... miał zostać powiatowym... tropicielem, rodzajem psa gończego, który od czasu do czasu będzie jeszcze miał prawo, czy obowiązek, mordować jakiegoś agitatora albo bandytę!...

W taki sposób czyjś rządca czy administrator z całą naiwnością znieważał go, jak nikt i nigdy. Ale — dziwna rzecz — Świrski przyjął to obojętnie, gdyż nawet niesłychana propozycja pana Klemensa bladła wobec listu stryja. Ten dopiero list był dla Kazimierza ciosem, po którym zdawało mu się, że zaczyna gdzieś spadać, bez możliwości zatrzymania się.

Jeszcze raz wydobyl z kieszeni nieszczęsny papier i znowu zaczął go odczytywać, już nie dla zapoznania się z treścią, lecz dla sprawdzenia, że taka rzecz naprawdę istnieje, że jego stryj naprawdę coś podobnego napisał. On, Kazimierz, ma pogodzić się z władzami krajowymi, które go od kilkunastu dni poszukują.

W jakim sposobie ma się pogodzić z władzami człowiek, któremu grozi szubienica?... Chyba, że pójdzie do ochrany, opowie historię założonego przez siebie związku Rycerzy Wolności, zadenuncjuje swoich kolegów i tych wszystkich kupczyków, majstrów, czeladników, pisarzy, gajowych, ekonomów, którzy mu zaufali, którzy mieli stworzyć armię pod jego rozkazami!...

Pan Klemens wprawdzie namawiał go do śledzenia i tępienia, ale — bandytów i ciemnych agitatorów; tymczasem stryj radzi mu, ażeby dla otrzymania swoich własnych kilku tysięcy rubli denuncyował ludzi uczciwych, patriotów, gotowych do poświęceń, którzy mu nieograniczenie ufali. Tak radzi, tego żąda stryj!...

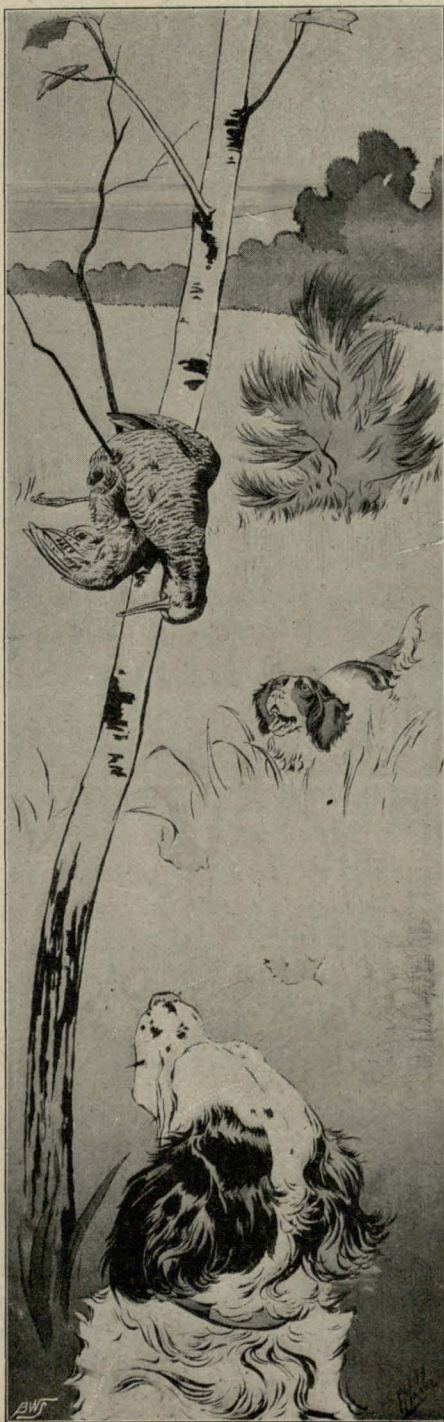
„On chyba dostał obłąkania... — myślał

Kazimierz.—Albo może to list sfalszowany... Ale przez kogo sfalszowany“?...

Na chwilę błysnęło w nim podejrzenie, że stryj chce zagarnąć jego majątek... Wnet jednak spostrzegł, że pomysł ten nie ma sensu. Stryj nie tylko możliwie najoszczędniej i najdoskonalej administrował jego własnością, nie tylko powiększył ją, ale bynajmniej nie krył się z tem, że wszystko, co posiada, po jego śmierci przejdzie na własność synowca Kazimierza. Wiedziała o tem rodzina Świrskich, a nawet niektórzy jej członkowie jawnie zazdrościli wychowawcowi pana Wincentego.

I otóż ten stryj, który go wychował, wymusztrował, nawet wypieścił, jak umiał, ten stryj, który, gdzie zdarzyła się okazyja, walczył za wolność, ten ukochany, uwielbiony stryj każe mu „ułagodzić zatarg z władzami“, czyli — chyba zostać denuncyantem i zdrajcą!...

Skutkiem odmówienia pieniędzy, Kazi-



Panneau z wyst. „Sztuka w życiu dziecka“.

mierz znalazł się w sytuacji bez wyjścia: w jakim bowiem sposobie wydobędzie teraz swoich kolegów z oddziału Zająca, jeżeli tam są... I co w takim razie pozostaje do zrobienia jemu samemu? Ale zawód pieniężny i groźące niebezpieczeństwo były drobiazgami, wobec głównej propozycji stryja. On — ma porozumieć się z władzami!... No, a gdyby też porozumiał się naprawdę, czy sam stryj nie wypędziłby go z domu?...

Gdy tak rozmyślał, oparty na biurku, oburącz ściskając głowę, cicho skrzypnęły drzwi, i weszła Linowska.

— Panu coś jest, panie Kazimierzu?... — odezwała się tonem współczucia.

Popatrzył na nią przygasłymi oczyma i po chwilowem wahaniu podał list.

Przeczytała i zwróciła papier spokojnie.

— Co pani myśli o tem?... — zapytała.

— Zapewne to samo, co i pan, że stryj jest bardzo rozgniewany i bardzo... bardzo rozżalony... Ale to przejdzie, jeżeli już nie przeszło...

— Nigdy nie przypuściłbym, ażeby stryj mógł coś podobnego napisać!...

— Nie obrazi się pan, panie Kazimierzu, jeżeli będę szczerą?... Powiem panu coś, jak matka twego najserdeczniejszego przyjaciela...

— Proszę... niech pani powie... Już nic gorszego nie usłyszę nad to, co mi proponował pan Klemens i — co napisał stryj.

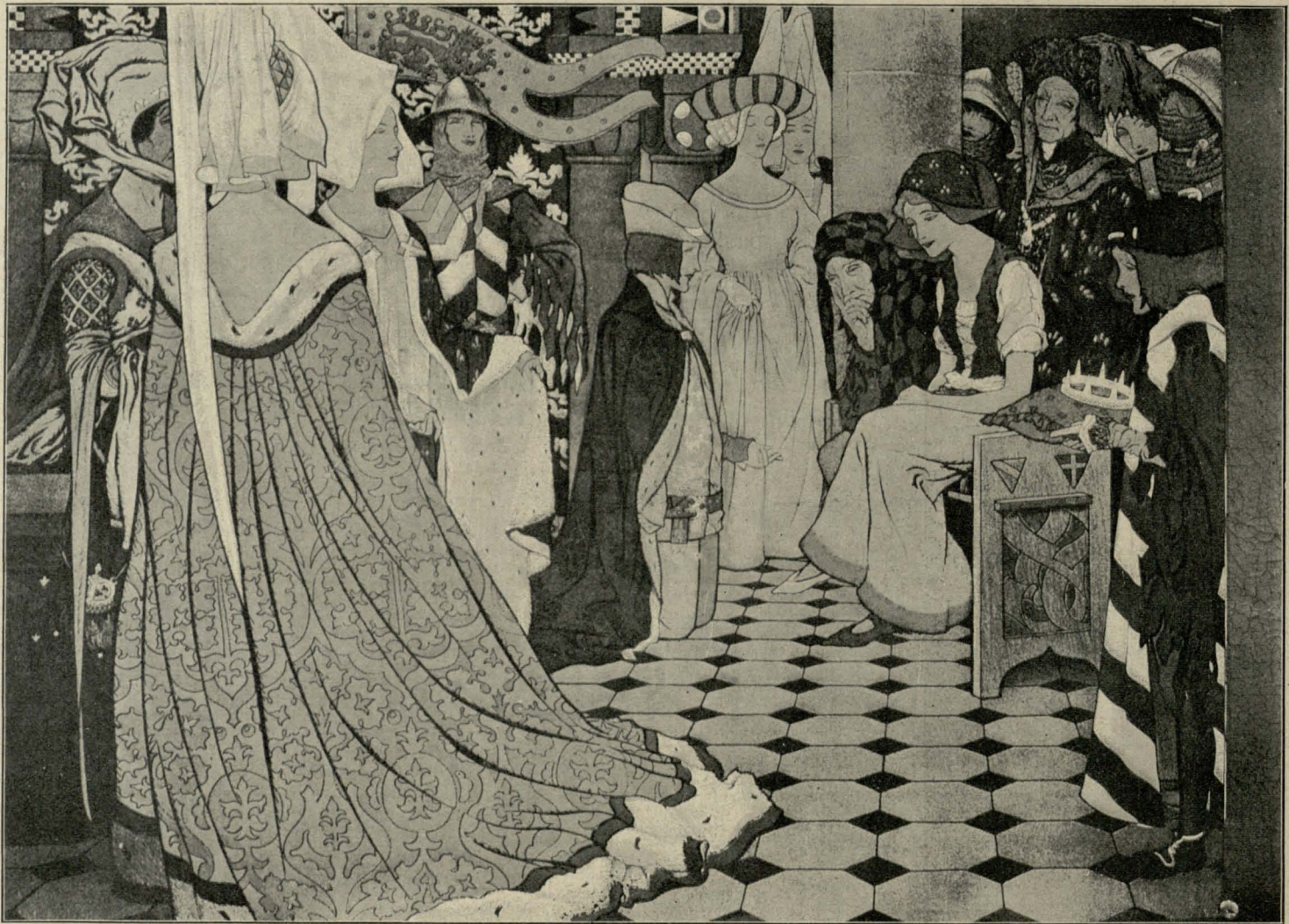
— A czy stryj pański przypuszczał kiedy, że ukochanego synowca i wychowawca będą ścigać?... że będzie groziło mu więzienie, jeżeli nie zsyłka... Człowiek może stracić panowanie nad sobą, gdy spotka go podobna niespodzianka!...

— Dla dobra kraju... — wtrącił Świrski.

— Przepraszam... ale zdaje mi się, że i pan i mój Władek i wy wszyscy wogóle jesteście w błędzie. Chyba zgodzi się pan, że ludzie starsi, doświadczeni trochę lepiej od was rozumieją: co jest dobrem dla kraju? Jakże więc może być dobrem to, od czego oni nie tylko odsuwają się, ale nawet was na wszelki sposób chcą odciągnąć?...

— Proszę pani, rewolucya byłaby dobrą, gdyby nie wmieszały się do niej jakieś podłe żywioły, które z jednej strony sieją niezgodę w narodzie, a z drugiej dopuszczają się zbrodni — przerwał Kazimierz.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — rzekła Linowska. — Wiem, że naprzykład Dębowski, a i starsi panowie w Hutach Żelaznych zawsze mówili, że ta rewolucya skończy się źle... Nie o nią jednak chodzi. Ma pan żal do stryja, że napisał list, według pana niedobry, a według mnie tylko rozpaczliwy... Wy, młodzi, nawet nie domyślacie się, czem jest dziecko dla rodziców, a choćby i dla opiekuna, który je wychował... Nie wiecie o tem, że w ciągu kilku czy kilkunastu lat wspólnego pożycia serce ludzkie tak przyrasta do dziecka, że, gdy ono zadrapie się w palec, nam kaleczy się dusza, gdy ono potknie się, my jesteśmy



KOPCIUSZEK

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

Autolitogr. kolorowa CÖMPLEYA

złamani, a gdy ono cierpi, gdy jest zagrożone, dla nas już niema szczęścia w życiu... Więc czy może się pan dziwić, że stryj napisał ostry list?... Przecież to nie on pisał, tylko ciężka jego boleść... Przecie to jemu robi się zimno, gdy pomyśli, że pan na mrozie będzie tułał się po lasach; przecie jego serce pójdzie za panem do więzienia, na wygnanie, nawet na śmierć...

W tej chwili Kazimierz schwycił jej rękę i mocno przycisnął do ust, cicho szlochając. Linowska objęła go za głowę i płakała razem z nim.

— Biedne, kochane dziecko!...—szeptała.

— Nędzny jestem!...—mówił Świrski.— Teraz rozumiem, jaką krzywdę zrobiłem państwu, przysięgam... mimowoli!...— Życie oddałbym, żeby to można było cofnąć...

Linowska otarła oczy.

— Myśli pan o Władku?...—rzekła.— Otóż, mówię panu, że, jak kocham go, nie mam dziś najmniejszej pretensyi... Władek ma przecie swój rozum, robił to, co sam chciał, spostrzegł się w porę i dziś jest już nie tylko bezpieczny, ale i zupełnie wyleczony z polityki... Sam to do mnie napisał... Twój los, panie Kazimierzu, więcej mnie dziś niepokoi... U nas jesteś tu bezpieczny, potrafię cię przechować, ale... Ale co będzie, jeżeli rząd zechce skonfiskować twój majątek, albo jeżeli zaarrestują stryja... No, stryj da sobie radę...

— Więc cóż mam robić?...— spytał Kazimierz, załamując ręce.

— Przedewszystkiem nie upadać na duchu... Ludzie miewają gorsze od naszych kłopoty, a przecie z nich wychodzą. A następnie czekać, aż Dębowski zobaczy się ze stryjem. Jestem pewna, że po tej wizycie stryj napisze do pana inny list i przyśle pieniądze... Zdaje mi się też, że sprawę kolegów, jakże im tam?

— Chrzanowski, Lisowski, Starka...

— Otóż ich sprawę niech pan zostawi Dębowskiemu. On do nich trafi, pogada z nimi i w pańskim imieniu ofiaruje pomoc... A tymczasem pan może najlepiej zrobiłby, gdyby po zobaczeniu się z Dębowskim wyjechał do Galicyi.

— I tych trzech zostawił?...—

— Mnie się zdaje, że dziś nic pan im nie pomoże—odpowiedziała Linowska.— Zresztą kto ich tam wie... Może właśnie przypada im do gustu takie bezcelowe awanturowanie się...

Linowska podniosła się z krzeselka, Świrski znowu pocałował ją w rękę i rzekł:

— Jeżeli pani pozwala, będę jeszcze korzystał z gościnności, do przyjazdu pana Dębowskiego. A później—zobaczymy...

Rozmowa z Linowską, jej rozsądne, a nadewszystko pełne miłości zdania rozbudziły w Kazimierzu zachwianą energię. Przed kwadransem czuł, że stoi nad jakąś przepaścią, od której tylko w śmierci można znaleźć ucieczkę; obecnie zaczął rozumieć, że jego położenie nie o wiele się na gorsze zmieniło. Choćby mu skonfiskowano majątek,

więc i cóż?... Będzie pracował i przy pomocy stryja zbierze nowy majątek. W obecnych zaś warunkach najlepiej będzie pilnować się projektu Dębowskiego: zaczekać na jego przyjazd i pieniądze i—na jakiś miesiąc wyjechać do Galicyi. Jeżeli wybuchnie w Rosyi rewolucya, pójść tam i walczyć „za ich i naszą wolność“; jeżeli nie będzie rewolucyi—wziąć się do nauki, ażeby zdobyć stanowisko i utrzymanie.

— „Biedny stryj!—rzekł nagle do siebie—jużci on mnie wychował i kochał“.

Nie miał jednak odwagi dłużej zastanawiać się nad swoim stosunkiem do stryja. To nie stryj jemu zrobił krzywdę, pisząc list może zanadto surowy; to raczej on skrzywdził stryja, gdyż obalił wszystkie jego nadzieje, naraził na żal, na niepokój, a może i na uwięzienie?...

A co się tyczy kolegów: Chrzanowskiego i Lisowskiego (Starka najmniej go interesował), co się tyczy kolegów, są oni przecie takimi samymi ludźmi, jak Władek Linowski, jak on... Jeżeli Władek przez miłość dla rodziców potrafił wycofać się ze związku, jeżeli on, Świrski, doszedł, patrząc na to, co się dzieje, do przekonania, że ich ruchawka powiększyłaby tylko zamęt w kraju i pomnożyła klęski, zamiast zdobyć wolność, to dla czegożby do tych samych wniosków nie miałby dojść Chrzanowski albo Lisowski... Dziś jego rzeczą jest tylko ułatwić im opuszczenie oddziału i dostarczyć środków wyjazdu zagranicę; reszta należy do nich.



BŁOGOSŁAWIENSTWO PRACY
Z wystawy sezonowej w Berlinie

T. E. ROSENTHAL

Potknął mi się koń w pędzie, uniesiony szalem,
Któregom sam wykarmił, ujeździł—koń własny.
Upadłem. Ręka drgnęła, pękł w niej pałasz jasny,
A jak szcęknał boleśnie—słyszałem, słyszałem...
Zwalił mi się hełm piękny, czystem złotem lity,
Który się słońcem świecił i dumą na czole,
Święty, serdeczny ryngraf prysł, w szczątki rozbity,
I leżę pokonany z potłuczonym ciałem,
Oslupiałą żrenicą patrząc w bitwy pole.

Pusto?

Martwa ma dusza

W tym ciągu głuchych, ślepych dni
Nic mnie nie boli i nic mnie nie wzrusza...
W sercu się jeszcze coś tuła, coś śni,
Jak mgła, pył, dym, rozwiany, nic nie warty...
Ryngraf w szczątki rozbity, pióropusz obdarty
Z orlich i świetnych strusich piór...
Jużem nie mężny rycerz—nie,
Lecz poniżony w służbie ciur...
Po śnie—po śnie!

* * *

Gdzie jest nasz sztandar—zboru znak?
Niech się odezwie płomiennym szelestem,
Niech załopocze, zerwie się, jak ptak,
Raz jeden jeszcze niech zaszumi: jestem!
W sygnał rozwinie swe skrwawione płótno,
Cyt! On się zachwiał, ale jakże smutno,
Niby jesienny potargany liść...

Zostać—czy iść?

Czy iść śladami tych zgorzałych liści?
Ach, gdyby wierzyć, że się wszystko ziści.

* * *

Dajcie uwierzyć w starodawne godło,
A konia dębem na nogi postawię,
Wstąpię w strzemiona i skoczę na siodło
I, miast straconej, nową zbroję sprawię;
Żelazny szyszak bez ozdoby, czarny,
Nieubłaganym ciężkim młotem kuty,
Zamiast pałasza wezmę sztylet struty

I będę walczył, jak rycerz cmentarny,
Ponuro, smutnie,
Podstępnie i skrycie,
Z obojętnością, chłodem, a okrutnie,
Na śmierć i życie!

* * *

W krwi po ostrogi mego konia splewię,
Na bojowisku kiedy jeńca złapię,
To się nasycę, jak on mną, pobawię.
Na oczach jego pobiję mu dzieci,
Na łożu jego zgwałcę mu kobiety,
Spiluję głowę, osadzę na pice,
Niechaj kroplami z wysokości kapie,
Białkami żrenic wywróconych świeci—
Za ten mój ryngraf, na szczątki rozbity.

Łąki stratuje, łąny zniszczę, zemnę
Za poszarpane me sny i nadzieje,
Gumna obrócę mu w płonące świece
Za noce moje posępne i ciemne,
Gwiazd pozbawione, w których nic nie dnieje.
Sztyletem strutym opatrę mu rany
Za jasny pałasz pęknięty, złamany.
Gdzie sioła, miasta—zostawię plac czysty,
Źródła mu wody zamknę swemi warty—
Za mój hełm piękny, za mój hełm złocisty,
Za mój pióropusz, na strzępy podarty.

* * *

Umarli, wstańcie z męczeńskich swych dołów,
Ciągnijcie za mną cichym korowodem,
Jak orszak w ziemię wdeptanych aniołów,
Wijących śmiercią i mogilnym chłodem.
Rozplączcie każdy swój powróż na ciele,
Linę z nich splećcie—wetknięte piszczelce
W ściśnięte węzły staną się drabiną,
Którą wejdziecie, by otoczyć kołem
Zaciszę jego i swą twarzą siną
I brózdą pręgi i szczerbatem czołem

Zaświecić w oczy, a gdy, rażon lękiem,
Struchleje cały i włos mu się zjeży,
Tych samych sznurów opaszcie go pękiem,
A zdjęty zgrozą z miejsca się nie ruszy...
Wam go daruję—dzielcie się, jak łupem,
A sprawiedliwie, co komu należy
Z krwi, z ciała jego i z przestrachu duszy,
Z piekielnej męki stawania się trupem.

* * *

Drodzy umarli, waleczni, pobici!
Lecz czemuż w owym tumultie rozruchu
Wy mnie serdeczne wypruliście nici
I pognębili i złamali w duchu?!
W odwet za pałasz mój złamany
Strutym sztyletem leczyć miałem rany,
A wam cóż zrobię,
Kiedy jesteście nicością,
Garstką popiołu, próchniejącą kością
W nieznanym grobie.
Kiedy jesteście gwałtownie zagasła
Poprzepalanych płomieni latarnią—
Dla pozostałych wspomnienia męczarnią
Lub zemsty hasła!

Umarli drodzy milczeniem swem święci,
Wróćcie mi serce, wróćcie duszę dawną—
Wymażcie wszystko, co gorzkie, z pamięci
I pozostawcie przeszłość wielką, sławną,
Abym mógł o niej powiadać powieści
Jasne, jak piorun, swym córkom i synom
I skarb przyszłości powierzyć ich czynom,
Gdym swoje splekał w boleści.
Nie bój mnie mierzył, lecz zmierzyły krzyki,
Race słów grzmiących, race bez wybuchu,
Jak rdza, przeżarły mi zapał i siły.
I, gdy dziś mówię, żem wojownik dziki,
Zwodzę sam siebie.
Jam tylko szyldwach u waszej mogiły
I niespokojnych sen o żywych duchu,
Oblok łez w niebie.

W SCHWARZWALDZIE POLSKIM.

NA HOWERLĘ.

Na Howerlę!

Wedrzeć się na Howerlę, najwyższy, sięgający 2,058 metrów ponad poziom morza szczyt pasma gór Czarnohorskich, zmierzyć dumnym spojrzeniem wszystkie naokół wirchy i połoniny tak polskie, jak i węgierskie, to przedmiot najgorętszych marzeń każdego turysty, tęsknie oczekującego promyka słońca po długotrwałej ślocie. Wlecz się czas ślimaczym chodem w licznych willach i dworach w letniskach podkarpackich: Worochcie, Tartarowie, Mikuliczynie, Jaremczu; napróżno z żadną ciekawością rzucamy się codziennie na biuletyny meteorologiczne; napróżno każdego napotkanego Hucula wypyujemy o pogodę na jutro, napróżno...

Znikąd pociechy!

Tymczasem badamy ogólną fizyognomię kraju i ludu.

Kraj, owo historyczne Pokucie, niewiele zapewne zmieniło się od tego czasu, gdy Oleksy Doboszuk na czele swych dwunastu opryszków grasował po okolicy. Przeprowadzona z niesłychanym trudem i kosztem droga żelazna ze Stanisławowa do Körösmezö, biegnąca poprzez liczne tunele, po wspaniałych kamiennych wiaduktach ponad falami Prutu i wartkich potoków górskich, kilka dróg kołowych, wijących się wężowymi przegubami wzdłuż dolin rzek, gromadki nowych zabudowań dla wygody letników po wsiach huculskich, no i przetrzebione lasy po zboczach i dolinach—oto wszystko, co dała Pokuciu kultura w ciągu ostatniego stulecia.

Lud huculski—pozornie ten sam, jak w one czasy, kiedy bohater „Karpackich górali“, Antoś Rewizorczyk, ukrywał się ze swą bandą rozbójników po lasach i skałach Czarnejhory, Krętej i Czywczyna: smukły, dorodny i strojny, serdeczny i gościnnie. Ale, niestety! tytuń, „horiwka” i rozpusta czynią straszliwe spustoszenia w tych zdrowych i jędrnych organizmach, a obcowanie z przybyszami miejskimi nauczyło Hucula chciwości i wyzysku...

Te smutne refleksje, zionące z pod oślizgłych, nietoperzowych skrzydeł słoty, przerywa wieść radosna: barometr idzie w górę!

Nareszcie chmury rozchodzą się, niebo wyjaśnia. Rzeki i strumienie opadają szybko, drogi

i „płaje” (ścieżki) już zdążyły obeschnąć, jeszcze ostatnie przygotowania—i w drogę.

Jest nas sześć osób: pięciu turystów i jedna odważna a wytrwała taterniczka—nie za wiele, nie nie za mało. Chłodny, sierpniowy poranek. Mgły przejrzyste otulają miękkim płaszczem stoki i wirchy, zalewają doliny. Ze środka Worochty, gdzie zamieszkujemy, mimo budynku pocztowego, idziemy w górę Prutu ku tartakowi, gdzie czeka na nas zamówiony już wczoraj pociąg kolejki leśnej.

Na wzgórzu majaczy wśród mgieł kopulasty, przysadzisty kontur drewnianej cerkiewki... Z niewidomej dali donosi się poryk bydła i pobrzękiwanie dzwonek, zawieszonych u szyi krów... Każdy dźwięk rozlewa się szeroko w czystym! rzeźwiącym powietrzu... Nastrój prawdziwie górski...

W pół godziny zajmujemy już miejsca w małym wagoniku osobowym, doczepionym do długiego łańcucha wozów, pełnych desek, wiór, kamieni i robotników tartakowych, ładownych pniami świerków, zaledwie ociosanych. Ciągnie nas zwolna i statecznie miniaturowa „maszynka”, jak ją nazywają Huculi, ciągnie przez poręby i łysiny leśne, mimo leśniczówki Ardżeluży, aż do potoku Foreszczenki, gdzie kończy się tor.

Smutny widok! Na prawo i na lewo zbocza górskie, niegdyś strojne w ciemną zielen lasów, dziś świecą sterczącymi żałośnie pniakami, jak pola bitew, bielejące kośćmi poległych rycerzy. Tu i owdzie pozostawione świerki chwieją tęsknie wyniosłymi czubami i zdają się szeptać echo:

Już wam więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi...

Ginące zwolna pokolenie dziatwy górskiej, synów Schwarzwaldu polskiego!...

Od potoku Foreszczenki po godzinie dość stromej miejscami drogi pieszej stajemy u schroniska Towarzystwa Tatrzńskiego na Zaroślaku, skąd po krótkim wypoczynku i posiłku ruszamy w dalszą drogę.

Tuż za schroniskiem gubi się płaj, który nas dotąd prowadził szczęśliwie. Jesteśmy w Zaroślaku. Jest to gęsty, częściowo wycięty las w dolinie Prutu, przez który przeciskają się drobne strumyki i ruczajki, teraz wezbrane po wielodniowej ulewie, dzikie bezdroże, usiane zwalonymi wichrem, powodzią i ręką ludzką drzewami, gałęziami, pełne głazów, wybojów i trzęsawisk.

Oddychamy z radością, wydostawszy się z tego przekłętą ostępu. Przed nami rozciąga się wspaniały widok na główne pasmo Czarnohory, od Howerli do Dancerza i Turkuła, z przepięknym wodospadem Prutu, szumiącym w oddali.

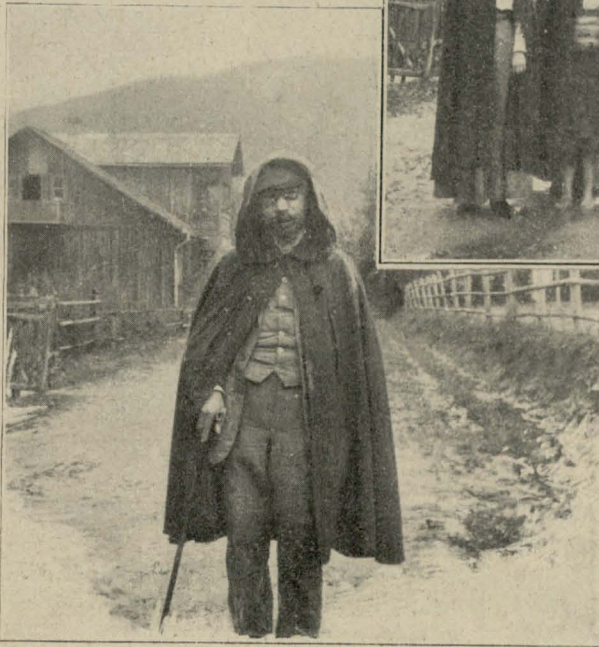
Pozostaje tylko wdrzeć się po niezbyt stromym z tej strony zboczu na Howerlę, której szczyt, wznoszący się hardo ponad inne wirchy, mile wpada w oko miękką, łagodną linią.

Ale to wdzieranie się, pozornie łatwe, nie idzie jednak tak szybko, jakbyśmy tego pragnęli.



Howerla z przełęczy Breskulskiej.

Trzeba pokonać około 500 metrów wysokości, przytem drogi niemasz tu wcale, prócz rozwidlonych w różne strony i urywających się co chwila ścieżynek, wydeptanych przez owce. Trzeba też omijać rozległe zielone wyspy kosodrzewiny, zwanej



Nasz współpracownik w drodze.

przez Huculów „żerepem”. Sami sobie torujemy zakosy, już to po miękkiej, puszystej trawie, to znów po ostrych, bodących głazach, młodszy i niecierpliwszy przodem, w szpicie, starszy i stateczniejszy w tyle, w odwodzie. Około dwóch godzin trwa ten pochód nużący, ale radosny. Jeszcze jedna połonina — i oto wreszcie szczyt przed nami, otulony w szarą sukmanę obłoku... Więc już, już...

Jeszcze kroków kilkadziesiąt, gorączkowych, przyśpieszonych—i sześć westchnień wydarło się w nadobłoczne krainy. Mówię: nadobłoczne, bo sami jesteśmy na wysokości chmur. Narazie—wrażenie zawodu. Dysk o kilkudziesięciometrowym promieniu, pośrodku stertka kamieni, wśród nich znak tryangulacyjny, utamany jakąś wandalską ręką, a wokół chmury, chmury, chmury... Zawieszeniśmy w chmurze, jak Sokrates w koszyku w komedii Arystofanesa. Daremno wzrok usiłuje przebić mleczną zastonę mgieł, tęsknie mierząc w dal, ku północy. A może chmura zniesie nas z sobą, jak ta, z którą Kordyan spłynął ze szczytu Mont-Blanc na mazowieckie niziny?...

Zimno przenikające... Mroźny wicher szczytowy wyje, jakby w zawody... Otulamy się w płaszczki i peleryny... Jedyna para rękawiczek wędruje z ręki na rękę, ogrzewając skostniałe palce... Niegościnna chmura osypuje nas krupkami śniegu...

Powoli ogarnia duszę zniechęcenie. Więc po to tylko trzeba było wdzierać się aż tak wysoko, ponosić tyle trudów?

Cierpliwości! Bo oto od czasu do czasu otwiera się jakieś okienko w chmurze, ukazując to strome zbocze, to skrawek odległego horyzontu w nizinie...

Nagle wiatr zadął silniej—i rozdarł się całun mgieł, jakby szarpnięty niecierpliwą dłonią. Wilgotne kłęby zwijają się, płyną, nikną. Coraz to inna część widnokręgu wynurza się, to znów zasnawa powłóczywym kwefem. Przedziwny kalejdoskop! cudowne miraż! urocze złudzenia! Bo oto zdaje się nam, że jesteśmy na pokładzie



W oczekiwaniu pogody.

olbrzymiego okrętu i płyniemy z zawrotną szybkością, mijając to wyniosłe, to znów nizinne brzegi.

Oto już olbrzymi zrąb sąsiedniego, na stronie węgierskiej, szczytu, Pietrosa, staje przed nami w całym swym groźnym majestacie. Jeszcze chwila, a otworzy się u naszych stóp olbrzymia połać przestrzeni, od Śniatyna i Kołomyi do Maramaros-Szigetu. Widok niezrównany!

I momowoli przychodzą na myśl słowa Antosia Rewizorczuka, gdy, zamknięty w „białej skorupie”, tęskni do swych gór, połonin i strumieni: „Bywało, gdym stał sam jeden na wierzchołku Czarnej góry (NB. tak nazywają niektórzy niższy o 32 metry od Howerli szczyt Popa Iwana), gdym widział na dziesięć mil wokoło góry mniejsze, jak ogromne sterty zielonego siana, gdy pod nogami moimi ciągnęły chmury, a nad głową nie było nikogo, prócz orła, który szumił skrzydłami—o! jak mi było świeżo, jak wesoło, jak swobodnie!”

Podobne myśli i uczucia snują się siecią pajęczą w duszy smutnego wędrowca, co z nadprzyziemnej nadwiślańskiej równi dotarł na wyniosły, wolny szczyt Czarnohory.

Długo, długo napawamy się rozkoszą niewypowiedzianą. Ale, niestety, wszystko ma swój koniec na ziemi. Bo oto słońce schyla się już ku zachodowi. Czas powracać do schroniska!... Inną drogą, bardziej połogiem zboczem, zwróconem ku Breskulowi, zbiegamy szybko, w dziwnym upojeniu, którego tak często doznaje się w górach. Raz jeszcze, z przełęczy Breskulskiej rzućmy tęsknym okiem na siniejący w dali kontur Howerli... Królowo gór Czarnohorskich, bądź mi zdrowa, na długo, może na zawsze!...

HENRYK GALLE.



Cerkiewka w Worochcie.



ŻORAWIE, Z KSIĄŻKI „NOWE LATKO“

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

PIOTR STACHEWICZ

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

II.

W trzyaktowym dramacie, „Ojciec Makary“ (Kraków 1876), który był pierwszym ogniwem trylogii: „Nieśmiertelne dusze“, Świętochowski stworzył tragedię miłości ojcowskiej w sercu księdza, krępowanego celibatem, dopominającego się o naturalne prawa człowieka. Sztuka potraçała o temat drażliwy, nie była jednak bynajmniej pamfletem antykatolickim, oparta na głębszych konfliktach etycznych uczuć, krępowanych przez tyranie ustalonych form życia.

Jak we wszystkich dramatach Świętochowskiego, brak jej było realizmu, charakterystyki wielostronnej żywych postaci, które były pomyslane w formach ogólnych, miały „subtelność formuły i wykreśleń matematycznych“, opierały się nie na bezpośredniej obserwacji, ale na dedukcyjnej analizie uczuć i namiętności, wyrażonej w formie płomiennej retoryki albo dyalektycznych kontrastów.

W dramatach jednoaktowych: „Antea“, „Na targu“, „Za maską“, „Poddanka“, „Helvia“ (1876 r.) Świętochowski na różny sposób podejmował sprawę indywidualnej i społecznej swobody, piętnując wyzysk, gnębienie nędzarzy, ucisk swobodnych pracowników, tyranie społeczną i polityczną, zdobywając

się zwłaszcza w „Helvii“ na spiżową dramatyczną ekspresję.

Na tle filozofii przyrodniczej wyrósł zasadniczy pomysł 4-aktowego dramatu „Piękna“ (1878 r.), w którym rozwija się konflikt między popędami naturalnego doboru a świadomością, dyktowaną przez prawa moralne. Pomimo pesymistycznego poglądu na naturę kobiety, na złowrogą moc piękności w życiu płciowym, Świętochowski wyprowadza tu działanie czynników etycznych, które w życiu gromad i jednostek szlachetniej zorganizowanych modyfikują fatalizm instynktów i praw przyrodniczych. Dwa pierwsze akty utworu pełne są zwartości i ruchu, w dwu ostatnich aktach przeważa pierwiastek intelektualny i dyalektyka słowna nad plastyką dramatyczną; całość, jak zwykle, oplótł autor festonami świetnego dyalogu.

Dramat ten, oraz cały cykl jednoaktówek powstały po powrocie z Lipska, gdy Świętochowski poświęcał się bezpodzielnie pracy publicystycznej, był filarem *Przeglądu Tygodniowego*, w którym drukował także swoje „Dumania pesymisty“. Jest to szereg szkiców i refleksji filozoficznych, oprawnych w pysznie dzierzganą szatę słowa. Bezsilność człowieka wobec najwyższych zagadek istnienia wyrażona tu została w formie świetnej, cyzelowanej po jubilersku.

Opuściwszy w 1876 r. *Przegląd Tygodniowy*, objął Świętochowski redakcję codziennego pisma *Nowiny*, ale ciągnięcie dziennikarskiej taczki nie odpowiadało naturze jego umysłu i talentu. Tam to pisywał swoje świetne felietony „Listy z Paragwaju“, w których nie tylko dał folgę ciętości, chłostząc biczem satyry obskurantyzm i wsteczność, ale umiejętnie dotykał bolesnych stron życia współczesnego, zdobywając się na głębsze akcenty zbiorowego bólu.

W szeregu noweli i obrazków powieściowych: „Chawa Rubin“, „Karl Krug“, „Damian Capenko“, „Klemens Boruta“ (1879 r.), wyjątkowo okazał się realistą, zdobył się na obserwację życia codziennego i jego drobiazgów, ale gruntem ideowym tych utworów była obrona upośledzonych w duchu humanitarnym, stająca nawet w poprzek pojęciom tak modnego dzisiaj narodowego egoizmu.

A jednak, gdy podczas pobytu w Niemczech przypatrywał się bliżej zбочeniom rasowego samolubstwa, w jego utworach zaczęła coraz silniej dzwignąć szczerą nuta swojska, potęgowało się przywiązanie do spraw i potrzeb krajowych, współczucie dla niedoli bratniej rzeszy. I odtąd w pracach jego publicystycznych, obok dążności reforma-

torskich i szermierki liberalnej, występuje silnie solidarność z potrzebami i cierpieniami społeczeństwa, przeżywającego jedną z najcięższych epok swego żywota, gdy rusefikacja ciążyła nad wszystkimi gałęziami życia narodowego.

W roku 1881 założył własny tygodnik literacki *Prawda*, któremu następnie poświęcił całą swoją niezmiernie płodną działalność publicystyczną. Stojąc na gruncie demokratyczno-postępowym, starał się zawsze spojrzeć sprawy ogólnoludzkiego rozwoju z potrzebami i bólami własnego narodu. W artykule „Socjalizm i jego błędy“ (1878), a potem w swych świetnych felietonach „Liberum veto“ zajął krytyczne stanowisko wobec kosmopolitycznego radykalizmu i słusznie stawiał zagadnienia, związane z ogólnym bytem narodu, ponad zagadnieniami bytu jednych warstw społeczeństwa. Stanowisko to kulturalnie demokratyczne zjednało mu w grupach skrajnych zaciętych wrogów, chociaż Świętochowski był zawsze rzecznikiem sprawy ludowej, głosował za ekonomiczną i cywilizacyjną emancypacją klas pracujących.

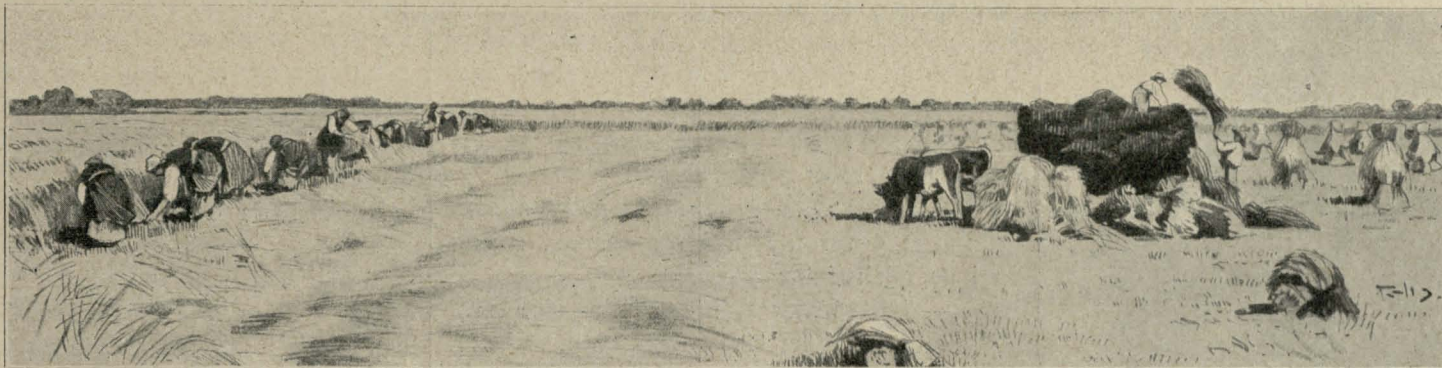
W dziedzinie twórczości to uczucie swojskie szczerze patryotyczne, zamaskowane w szacie grec-



Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“.



Pokłon Chmielnickiego, rys. J. Bukowskiego z książki „24 obrazki“ Anczyca. Z wyst. „Sztuka w życiu dziecka“.



ŻNIWO, Z KSIĄŻKI „NOWE LATKO“

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

PIOTR STACHIEWICZ

kiej, wybuchło z wielką siłą w jednoaktowym dramacie „Pauzaniasz“, w którym piętnuje zdradę kraju, zawarłszy w szczyptach ramach akcją dramatyczną, pełną rozpędu i grozy tragicznej.

Jako artysta, najwyżej może stanął Świętochowski w szeregu obrazków powieściowych (*Tragikomedya prawdy*), prześlicznych „Krajobrazów“, dyalogów (*Dwugłós miłości*), bajek („Lew kamienny“, „Wesele Satyra“, „Hymn niemych“, „Dafne“, „Strachy Pentelikonu“), które drukował w *Prawdzie*, a potem zebrał w II i III tomie zbiorowego wydania pism swoich (Tomów VII r. 1896—1900). W tych klejnotach i kameach, rzeźbionych arcy-mistrzynie, kojarzy się mistrz stylu, wytworny dyalektyk z myślicielem, rozważającym nędzę spraw człowieczych i błotnistych nizin życia, poszukiwaczem prawdy, głębszej treści etycznej w zawikłanym chaosie zagadek, nad którymi unosi się marzenie o swobodzie dusz, wyzwolonych z nędzy powszedniej.

W pięcioaktowym dramacie „Aspazyja“ (r. 1885) daje zmodernizowany, lubo szeroki obraz świetnej kultury greckiej z epoki Peryklesa, wprowadza całą galerię wielkich mężów owego czasu, stara się przemówić ich pojęciami, streścić główne rysy ruchu umysłowego na tle wypadków politycznych. Chodzi mu nie tylko o wierny obraz historyczny, ale o moment walki cywilizacyjnej postępu z wstecznością, demokracji z arystokracją, wolności indywidualnej z tyranią gromady i naciskiem przesądu.

W dwu dramatach „Aureli Wiszar“ (1888 r.) i „Regina“ (1899 r.), stanowiących dopełnienie cyklu „Nieśmiertelne dusze“, Świętochowski podejmuje w dalszym ciągu szereg zagadnień, związanych ze sprawą swobody indywidualnej i głęboko pojętej zasady nieśmiertelności duszy. Regina, główna bohaterka tego cyklu, jest symbolem i wcieleniem zasady niezawisłości duchowej i tej siły niespożytej, która się opiera na świadomej sobie woli, na niezniszczalnej energii wewnętrznej.

Idea ta jest jednym z „leitmotiwów“ wielkiego cyklu dramatycznego „Duchy“, złożonego z pięciu

dramatów, w których autor przedstawił symboliczną genezę czynnej miłości w dziejach ludzkich. Ten łańcuch poematów jest wielką syntezą idei i sztuki Świętochowskiego, rezultatem jego najgłębszych marzeń o doli i przeznaczeniu człowieka. Obejmując całokształt rozwoju cywilizacji, Świętochowski wyodrębnił z niej sprawę rozwoju i postępu *etycznego* i, wbrew dogmatom filozoficznego egoizmu, apoteozował siłę wszechmiłości, jako czynnika syntetycznego, jako najwyższego kwiatu, duchowego podniesienia się ludzkiej istoty. Całość powstała na tle pojęć filozoficzno-ewolucyjnych, pokrewna treścią z „Legendą wieków“ Wiktora Hugo, jest spojną ściśniętymi ogniwami powinowactwa ideowego. Świętochowski, podobnie jak inni twórcy okrecu pozytywnego: Asnyk i Orzeszkowa, pomimo pesymizmu i determinizmu, wierzy w postęp ludzkości, w odradzanie szlachetnej siły twórczej miłości, która walczy z nędzą świata, niewolą, ciemnotą, przemocą, uciskiem brutalnym, fanatyzmem, łamie nienawiści społeczne, kastowe i narodowe, odradza się w coraz to szlachetniejszej postaci i pełniejszym uduchowieniu.



Matka Boska, z książki „Dzieciątko Jezus“, rys. Piotra Stachiewicza. Z wyst. „Sztuka w życiu dziecka“.

Świętochowski pojęcie miłości, łączącej mężczyznę z kobietą, kojarzy z poczuciem najwyższej harmonii i solidarności społecznej. Jest ona siłą, prowadzącą ród ludzki drogą przemian ku coraz szlachetniejszym zrzeczeniom. Idea niezniszczalności siły duchowej wiąże się tu z uczuciem miłości w duchu czysto chrześcijańskim, wyzwolonej jednak z wszelkich formuł dogmatyczno-wyznaniowych, jako zasady, która tryumfuje ponad okrucieństwem życia i zgiełkiem namiętności ludzkich.

W tej wielkiej kompozycji (której poświęciłem szkic krytyczny w czerwcowym zeszytzie *Sfinksa* z r. b.) myśliciel i stylistą przeważa często nad poetą dramatycznym, pierwiastek ideowy intelektualny nad obrazowością i charakterystyką ludzkich namiętności, kompozycja prowadzona jest szeroko, z wielką konsekwencją, a dyalogi przetykane świetnie wykończonymi ustępami opisowymi.

Świętochowski jest naturą zbyt bogatą i płodną, aby można w krótkim zarysie dać pełny obraz jego czterdziestoletniej wyteżonej pracy, pochwycić wszystkie blaski i migotania tej nieustraszonej czynnej inteligencji. Herold postępu, polemista śmiały, namiętny i bezwzględny, walczył za sprawę demokracji, poświęcając jej arystokratyzm umysłu i talentu pisarskiego. Stylista wytworny, pierwszorzędnym jubiler słowa, mistrz języka, pełnego obrazowości, dyalektyk i artysta o formie niesłychanie wytwornej, myśliciel bystry i głęboki, talent oryginalny, odznaczający się przewagą siły intelektualnej nad twórczością impulsywną, charakter pisarski samodzielny, silnie zarysowany, zawsze niezależny.

Walczył i szermował w duchu stronnictwa liberalnego; ale nie opuszczała go nigdy troska o dobro i moc duchową ogółu społeczeństwa. Podobnie jak całe pokolenie pisarzy rówieśnych, posiadał odziedziczone z tradycją polskiej cywilizacji poczucie misji społecznej i zasłużył się narodowi, tworząc literaturę, która była i jest dźwignią, źródłem energii wśród mroków naszej dziejowej niedoli.

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

42)

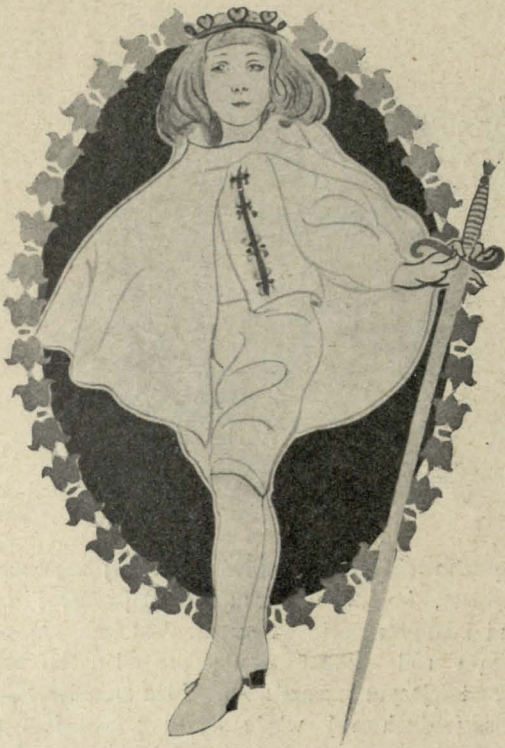
Antek prawie przed samą chałupą naktął się niespodzianie na Jagusię, szła z koszykiem i motyczką, pozdrowił ją skwapnie, ale spojrzawszy wilczymi ślepiami i przeszła bez słowa.

— Cie, jaka harna! — mruknął rozgniewany i, spostrzegłszy Józkę w opłotkach, powstał na nią srogo, że łązi po wilgoci.

Dziewczynnie bowiem było o tyle lepiej, że mogła całe dni leżeć w sadzie, krosty się już podgoiły galancie i przyschły, nie ostawiając żadnych śladów, to też jeno ukradkiem Jagustynka smarowała ją maścią, gdyż Hanusia krzywiła się na wielki rozchód maśla i jajek.

I leżała se tak, dobrzejąc zwolna i pra-

wie samiutka dnie całe, Witek bowiem wrócił do krów, czasem jeno przyleciała która przyjaciółka na krótką pogwarę, to Rocho posiedział jaką chwilę, to stara Jagata rozpowiedziała jedno i to samo: jako z pewnością zamrze we żniwa w kłębowej izbie i po gospodarsku; a głównie przestawała z Łapą, nieodstępnie warującym, i z boćkiem, któren



Z książki „Bajka o Kasi i królewiczu“. Rys. St. Dębickiego. Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“.

przychodził na wołanie, i z ptakami, co się były zlatywały do kruszyn chleba.

Któregoś dnia, gdy w chałupie nie było nikogo, zajrzała do niej Jagusia, przynosząc całą garść karmelków, ale nim Józka zdążyła dziękować, rozległ się jakiś głos Hanki, a Jagna pierzchnęła spłoszona.

— Niech ci będzie na zdrowie! — zawołała przez płot i zniknęła.

Lecią do brata, niosąc mu cosik w zanadru.

Zastała Nastusię przy krowie, chlipającej z cebrałki, Szymon stawał jakąś przybudówkę i sielnie gwizdał.

— Macie już krowę? — zdumiała się niezmiernie.

— A mamy! Co, nie śliczna? — mówiła z pychą Nastusia.

— Sielna krowa, musi być z dworskich, kiedy kupiliście?

— Juści co krowa nasza, choć i nie kupowaliśmy! Jak ci wszystko rozpowiem, to się złapiesz za głowę i nie dasz wiary! A to wczoraj jakoś na świtanie poczułam, że cosik tak się cocha o węgiel, jaże się buda zatrzęsa, myślę sobie, pędzą na paśniki, to świnia jakaś podeszła wytrzeć się z błota. Przyłożyłam się i jeszcze nie usnęłam, a tu znowu cosik porykuje z cicha. Wychodzę, patrzę, a tu krowa stoi, przywiązana do drzwi, klak koniczyny leży przed nią, wymiona ma wezbrane i wyciąga do mnie gębule. Przetarłam oczy, bo mi się zdało, że mnie jeszcze śpiak mroczy, ale nie, żywa krowa stoi, porykuje i liże me po palcach. Juści, byłam pewna, że się odbiła od stada, Szymek też powiada: zaraz tu po nią przyleć! To mnie jeno korciło, że była przywiązana. Jakże, sama się przeciek na postronek nie wzięła. Ale przeszło południe, i nikt po nią nie przyszedł, wydoiłam, żeby jej ulżyć, bo już mleko gubiła z cyków. Przeszedł wieczór, przeszła i noc, rozpytywałam się na wsi, pytałam nawet dworskiego pasterza, nikt nie słyszał, żeby komu krowa zginęła. Stary Kłęb powiedział, że to może być jakaś złodziej-

ska sprawa i lepiej krowę zaprowadzić do kancelaryi! Żal mi juści było, ale trudno, Szymek już się brał nią poprowadzić, kiej w przypołudnie przychodzi Rocho i mówi:

— Pocziwaś i potrzebnička, to cię Pan Jezus krową pobłogosławił.

— Juści, krowy pewnie z nieba spadają, nawet głupi nie uwierzy—ośmiał się na to i na odchodnym powiada:

— Krowa wasza, nie bójcie się, nikt jej wam nie odbierze!

Zrozumiałam, co od niego, padłam mu do nóg dziękować, ale się wyrwał.

— A jak spotkacie pana Jacka — powiada z prześmiechem—to mu za krowę nie dziękujcie, bo was jeszcze kijem przeleje, nie lubi dziękowań!

— To niby pan Jacek dał wam krowę!

— Zaśby się znalazł kto drugi taki pocziwy la biednego narodu!

— Prawda, dał przeciek Stachowi drzewa na chałupę i tyła wspomaga!

— Święty prosto człowiek, że już co dnia pacierz za niego mówię!



Rycina z książki „Dzień grzecznego Władzia“. Rys. Jul. Kossaka. Z wyst. „Sztuka w życiu dziecka“.

— Byle ci jeno kto nie wyprowadził bydłatka.

— Co, mieliby mi ukraść krowę! Jezu, a dybym ślepie wydarła, a dybym w cały świat poszła za nią i odebrała! Pan Jezus nie pozwoli na taką krzywdę! Do izby wprowadzę ją na noc, póki Szymek nie wystroi obórki. Jaśkowy Kruczek też dopilnuje bydłatka! Moja pociecha kochana, moja najmilsza! — szeptała Nastka, obejmując ją za szyję i całując po gębule, jaże krowa zajęczała, pies jął naszczekiwać radośnie, kury się rozgdakały zestraszony, a Szymek gwizdał coraz głośniej.

— Widno z tego, co wam Pan Jezus błogosławił! — westchnęła Jagusia, jakby z cichym żalem, przyglądając się uważniej obojgu. Wydali się jej bowiem nie do poznania przemienieni, zwłaszcza Szymek najbarzej ją zastanawiał, dyć go znała, kiej niedojdę, która trzech zliczyć nie poredził, w chałupie był

popychadłem i pomiałał nim, kto jeno chciał, zaś teraz jawił się całkiem drugim, poczynął sobie przemyślnie, nosił się godnie i prawil, kieby mądrała.

— Któreż to wasze pole? — spytała po długich rozważaniach.

Nastusia jeła pokazywać, powiedając, gdzie będą co sieli.

— A skądże to weźmie nasienia?

— Szymek powiedział, co będzie, to musi być, nadarmo słowa nie puści.

— Brat mój, a słucham, kieby zgoła o obcym.

— A taki pocziwy, taki zmyślny i taki robotny, że chyba drugiego takiego niema na świecie — wyznawała z gorącością Nastusia.

— Pewnie — powtórzyła smutnie — czyjeż te okopcowane role?

— Antka Boryny! Nie robią na nich, bo pono czekają działów po Macieju.

— Będzie tego z półwłóczek, no! Wiedzie się im niezgorzej.

— A niech im Pan Jezus da z dziesięć razy szcudziej, toć Antek zaręczył u dziedzica za nasz grunt, a i w niejednym nas wspomógł.

— Antek wziął się za Szymkiem! — aż przystanęła ze zdumienia.

— Hanka też nie gorsza od niego, dała mi maciorę, prosię to jeszczek, ale będzie z niego pociecha, bo idzie z plennego gatunku.

— Cudeńka prawisz. Hanka dała ci maciorę, prosto nie do wiary.

Wróciły pod chałupę, i Jagusia, wysuwałszy z chusteczki dziesięć rubli, wetknęła je w rękę Nastusi.

— Weź te parę groszy, nie mogłam przódzi, bo mi Żyd za gąski nie oddał.

Dziękowali jej ze wszystkiego serca, więc im powiedziała na odchodnym:

— Poczekajta, udobrucha się matka, to wam jeszcze coś niecoś udzieli.

— Nie potrzebuję, niech se moją krzywdą trumnę wyścieli! — wybuchnął Szymek tak nagle i z taką zapamiętałością, że już odeszła bez słowa. (DCN)



Rys. z książki „Jasełka“. Rys. J. Bukowskiego. Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“.



CAR FERDYNAND WŚRÓD LUDU

ANTONI PIOTROWSKI

ANTONI PIOTROWSKI:

Z DZIEJÓW CARSTWA BULGARSKIEGO

WSPOMNIENIA OSOBISTE.

Gdy w roku 1886 w sierpniu Aleksander Battenberski powrócił do Ruszczyka z Reni, przez Lwów i Bukareszt, widziałem się z nim w godzinę po przewspnianiu przyjęciu, jakie go spotkało od narodu przy wylądowaniu. Jeden tylko dysonans zazgrzytał wtedy złowrogo, był to telegram z kancelarii cesarza Aleksandra III, w tonie pogardliwym odrzucający lojalne wyrażenia hołdu, złożonego telegraficznie cesarzowi przez księcia Aleksandra.

Ten dysonans tak bardzo zamącił harmonię, że, według zapatrywania księcia, nie pozostawało nic innego, jak abdykacja. Był to najgrubszy błąd, jaki popełnił książę Aleksander.

Partya, na której czele stali: Stambułow i Naesowicz, namawiała księcia, aby zrobił zamach stanu i ogłosił niepodległość Bulgarii i ogłosił siebie carem.

Na te propozycje Aleksander odpowiedział: *je suis las des aventures* (jestem zmęczony awanturami). Byłem przy tem obecny, i razem z innymi nie mogliśmy dość ubolewać nad słabym politycznym instynktem księcia, który miał przymioty tylko na dzielnego żołnierza, ale panującym być nie potrafił.

Od tej chwili sprawa jego była przesądzona, kwestya ogłoszenia niezależności Bulgarii odłożona na długie lata, a księżę w trzy dni później złożył koronę. To, czego pod grozą Petersburga nie śmiał zrobić Aleksander, zrobił śmiały Stambułow. Regent ukarał z bez-

przykładną surowością oficerów i wojska, które brały udział w porwaniu księcia Aleksandra, ukarał tak surowo, że Strumski pułk, który głównie przyczynił się do porwania księcia, zniesiono zupełnie, oficerów i żołnierzy rozebrano z mundurów i te wraz z aktami pułku, sztandarami i wszystkim, coby mogło pułk buntowniczy przypominać, spalono!

Jak się pokazało w następstwach, śmiały ten krok był jednocześnie mądry i, jakkolwiek w kilka lat później Stambułow padł zamordowany przez skrytobójców, jednak przeprowadził, że się tak wyrazić można, edukację tego młodego i burzliwego narodu, jakim są Bułgarowie.

Stanowczość Stambułowa, zaszczerpiona, przyjęła się, co przy wrodzonym Bułgarom sprycie i przebiegłości robi z nich w każdej dyplomatycznej kwestyi bardzo trudnych do pokonania przeciwników.

Dowodem tego niech będzie choćby te parę faktów, jak misya generała Kaulbarsa i najście zbrojne kapitana Nabokowa.

Generał Kaulbars chciał podczas regencji wybory nowego księcia przeprowadzić w myśl gabinetu petersburskiego, co nie było zupełnie zgodne z konstytucją; na licznych wiecach politycznych, które generał Kaulbars urządzał, po rozmaitych miastach spotykał tak doskonale wyszkolonych wiecowników, że te wiece były w swoim rodzaju jedyne w świecie. Pozwolono generałowi mówić, ile chciał, na każdą wzmiankę o ś. p.

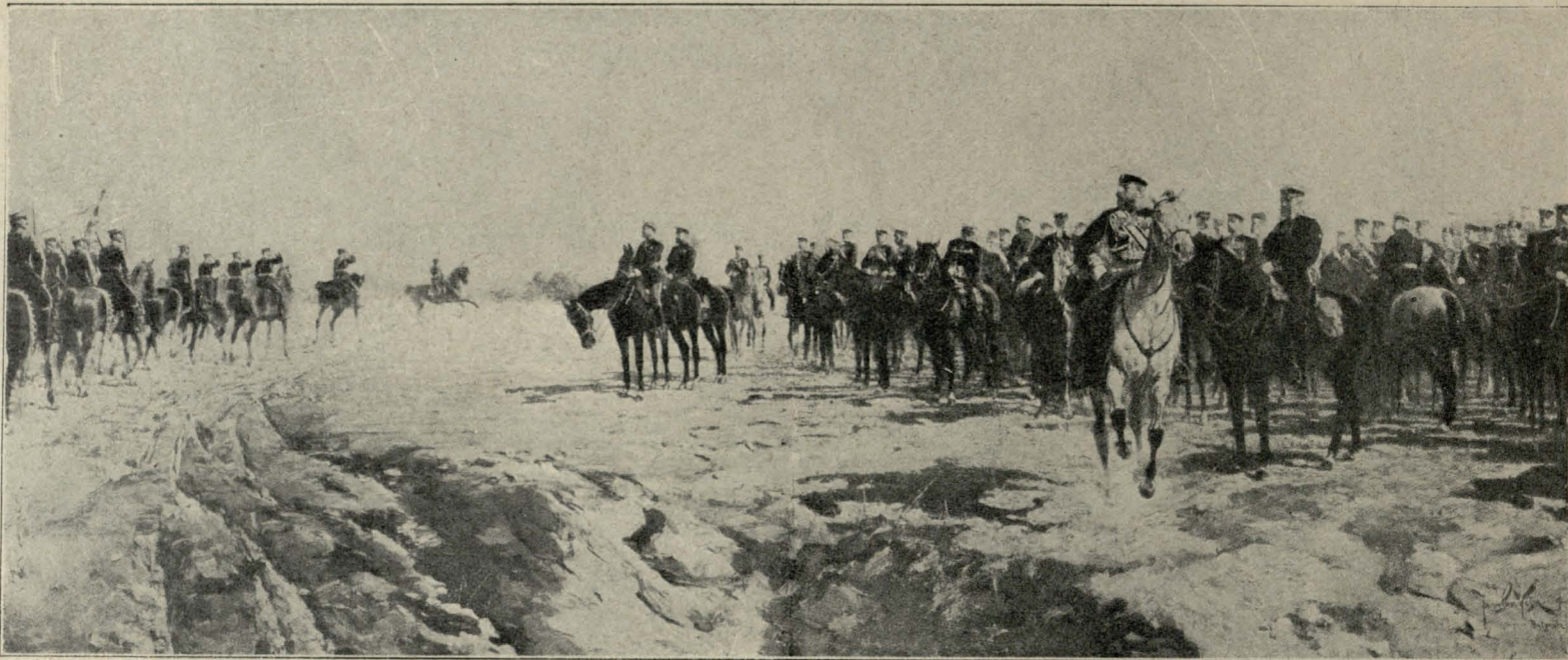
cesarzu Aleksandrze II lub o cesarzu, wówczas panującym Aleksandrze III rozlegały się tak gromkie okrzyki uwielbienia i czci: „Da żywije niezabrawien naszet Oswoboditel Aleksandr II, da żywije niegowo Impieratorsko Wielicestwo Car Aleksandr III”, że generał pewien był, iż każda propozycja będzie przyjęta przez ten fanatycznie przywiązany do Imperatorów Rosyjskich lud. A jednak żadna z propozycji generała Kaulbarsa przyjęta na wiecach nie była. Pokazało się, że Bułgarzy wszyscy, jeśli chodzi o interes istotny kraju, myślą to samo, choć w wolnych chwilach, bywało, brali się między sobą do noży i rewolwerów, kiedy chodziło o... posady i mandaty...

Kapitan Nabokow przypłacił życiem śmiały zamiar wywołania rewolucyi.

Wylądował on w okolicach Burgas z bandą zbiorów, zrekrutowanych w Konstantynopolu, aby rewoltować kraj przeciw regencyi i przeprowadzić wybory wbrew konstytucyi.

Nie wiedział tylko jednego drobnego faktu, że jest od Petersburga śledzony przez tajną policję bułgarską.

W dniu wylądowania horda Nabokowa z nim razem została wymordowana przez chłopów z okolic Anhielo i Burgas. Żaden agent policji, żaden żołnierz, żaden oficer lub urzędnik bułgarski nie brał w akcji udziału, byli to sami chłopci-rolnicy.



PRZEGLĄD KAWALERYI BULGARSKIEJ.

Urzędowy raport brzmiał: „W okolicy Anhielo banda rozbójników została zniszczona przez okoliczną ludność, jak się okazało, byli to przeważnie Czarnogórcy, a dowódcą ich był b. kapitan Nabokow”.

Sprawa nie miała następstw dyplomatycznych.

Po takich faktach samodzielność Bułgarów była dla wszystkich zdrowo myślących ludzi ugruntowana.

Wybór księcia Ferdynanda Koburskiego na księcia lennej Bułgarii przyjęty był wybuchem wesołości całej Europy, a wesołość ta była złośliwa. Nie było piśmi-dła humorystycznego, któreby nie narysowało księcia w krótkich majteczkach i z wielkim nosem, nie było „wy-trawnego pana” od polityki, któryby panowania księcia nie obliczał na tygodnie lub co najwyżej na miesiące.

Tymczasem okazało się, że książę Ferdynand pa-sował „akurat” do Bułgarów, jak Bułgarowie do nie-go. W przeciwieństwie do ks. Aleksandra, który całował się z dubeltówki z porucznikami, ks. Ferdynand *kazał* się całować w rękę ministrom—no i ci.. całowali pachnące i ubrane pierścionkami kosztownymi, ra-sowe ręce księcia. Tego właśnie im było potrzeba, „Kato tyj je kniaź, treba da bydie taka” (Kiedy jest księciem, powinien być taki).

Zadanie miał ks. Ferdynand bardzo ciężkie. Cała Europa, pokładająca się ze śmiechu, pogardliwe obcho-dzenie się z księciem nie uznanym rezydentów mocarstw w jego własnej stolicy, Sofii, silna partya rusofilska, wszystko to zatruwało mu każdą chwilę. Wszystko to jednak umiał znosić wesoło.

Gdy pierwszy raz widział księcia, po wstąpieniu na tron książęcy, pierwsze słowo, jakie wymówił, było:

— Spodziewam się, że pan zrobi portret podobny, bo się wszystkim rysownikom w pismach humorystycz-nych udaje uchwycić podobieństwo nosa; nie zapomnij jednak pan, że to jest nos Ludwika Filipa.

Gdy zacząłem pracę przy portrecie, zaanonsowa-no ministra wojny, Nikiforowa, przyniósł on rozmaite pa-piery do podpisania w tece. Księciu podano pióro, i wszystkie kolejno papiery, przeglądając, podpisywał. Jed-en papier, podany przez ministra, podał i cisnął na ziemię z zimną krwią, przyczem zauważyłem, że mini-ster zbladł, jak ściana, pobielona wapnem, i zapomniał natychmiast podać następny, książę z grymasem znie-cierpliwienia rzekł:

— Dawaj pan, bo nie mam czasu, przecież pan widzisz, że p. Piotrowski czeka!

Minister podał papier, książę podpisał, i minister, salutując, wyszedł.

— Czy wiesz pan, co było na tym papierze, któ-ry podarłem?—spytał książę.

— ?...

— Wyrok śmierci na pułkownika Popowa, bar-dzo porządnego i uczciwego człowieka, myślał, że prze-siępię i podpiszę.

Taki materyał miał książę do obrabiania.

W parę lat później byłem gościem księcia Ferdy-nanda w Euxinopolis nad morzem Czarnym, niedaleko od

Warny. Budowano tam właśnie pałac letni dla księcia. Mieszkaliśmy w starym klasztorze greckim.

Tam to miałem sposobność rozmawiać często, bo cooziennie, z księciem, w ciągu paru miesięcy i podzi-wiałem jego zdrowy rozsądek przy bardzo ostrym dow-cipie, oraz wielkie i wszechstronne wykształcenie. Zna-jomość historii wraz z zupełnie oryginalnym na nią po-glądem to główna siła księcia, a jako specjalność z zamięłowania, nauki przyrodnicze; książę, a raczej król, jest bardzo dobrym entomologiem i botanikiem.

Aby nie wyglądało to na jakąś apologię króla Ferdynanda, muszę z kolei pomówić o Bułgarach.

Jeżeli weźmiemy pastucha bałkańskiego, oddamy go do szkoły, potem do uniwersytetu lub akademii wo-jennej, to uczyni się z niego albo wzorowy urzędnik, albo bezprzykładnie zgrabny służbista i elegancki oficer.

Wiedeń cały podziwiał adjutantów księcia, jako doskonałych gentlemanów, a wielu z nich w piętnastym roku życia jeszcze pasło owce, lub czyściło buty w czy-telniach publicznych.

Żołnierz bułgarski uczy się w trzy miesiące aku-rat tyle, co żołnierz rosyjski w dwa lata, tak mnie za-pewniali oficerowie rosyjscy, którzy komenderowali przed r. 1885 w armii bułgarskiej. Przytem jest to naród na-wskroś i szczerze demokratyczny.

Tam nawet, sędzę, wyrazu demokracja nie rozu-mieją wcale, bo najczęściej znaczenie wyrazów polega na antytezie, otóż u nich antyteza demokracji, arysto-kracya, nie istnieje. Istnieje tylko różnica majątkowa, i to dotąd niewielka, bo proletaryatu w naszym rozumieniu niema wcale, tak samo jak niema analfabetów.

Po zetknięciu się z Bułgarami wielu Polaków wynosi wrażenie ujemne. Jest to wynik naszej lekko-myślności i sądzenia z pozorów. Bułgar jest skryty, nieufny, nieśmiały, nie lubi mówić frazesów, ale za to każdy z nich ze szczególną pilnością uczy się sam hi-storyi polskiej, i niestety, tak jak u nas jest wielu ta-kich, którzy nie wiedzą, co to za figura stoi na kolum-nie przed b. zamkiem królewskim, tak znowu trudno znaleźć Bułgara, któryby główniejszych zarysów polskiej historii nie znał.

Rozmawiałem z chłopami, pytali w tej chwili, z którego jestem zaboru, czy rosyjskiego, czy austriac-kiego, czy pruskiego.

Szczególnie wszyscy interesują się historią roz-bioru Polski. Jedna jest sprawa dawna, która nas łączy z Bułgarami, dawna, bo z r. 1444.

Zaraz po spotkaniu z Polakami Bułgarzy wspo-minają Władysława Warnieńczyka, który w obronie Bułgarii złożył młodą i pełną nadziei dla tamtych Słowian głowę.

Bułgarzy nie sprzedają ziemi, Bułgarzy nie oba-wiają się konkurencji handlowej obcych żywiółów. Ca-ły hurtowy handel jest w ich rękach. Wyjątek stanowią tylko konfekcyje damskie i artykuły drobne, bielizna, kra-waty, spinki i t. d., tymi handlują Żydzi wiedeńscy tak samo w Sofii i Filipopolu, jak i w Belgradzie.

Lud bułgarski zachowuje swoje przepiękne stroje

narodowe, a są miejscowości, jak np. okolice Średniej Góry, Korteń, Hara Zagora, gdzie ubiór wieśniaczki przed-stawia wartość kilku tysięcy franków, bo jest z surowe-go jedwabiu, przędzonego, wytkanego i farbowanego w domu i ozdobionego ręcznym haftem jedwabnym, złotym i srebrnym.

Przędzenie i tkanie wełny doszło w Bułgarii do nadzwyczajnej doskonałości.

Rolnictwo, a szczególnie ogrodnictwo, jest w sta-nie kwitnącym, szczególnie w tak zwanej przez Bułga-rów Tracyi (wschodniej Rumelii). Flota handlowa roz-wija się pomału, ale stale.

Prace nad ulepszeniem portu warneńskiego są prowadzone bezustannie.

Zalesianie nagich stoków Bałkanów idzie systema-tycznie, obwarowane prawami, bardzo surowo przestrze-ganemi. Jednym słowem, Bułgarzy wiedzą, co robić, i robią, i nie bardzo sobie życzą, żeby im kto w tej pracy przeszkadzał.

Literatura i sztuka są popierane przez rząd.

Podatki wybierane są od rolników w naturze, to jest w ziarnie. Pozbawieni ziemi są jedynie cyganie.

Obszar przeciętnego gospodarstwa rolnego prze-chodzi sto morgów, a często miewają i po 700. Ziemi dziewiczej bardzo wiele, i to nie byle jakiej, bo wino-gradowej i pszeniczno-kukurydziano-tytuniowej.

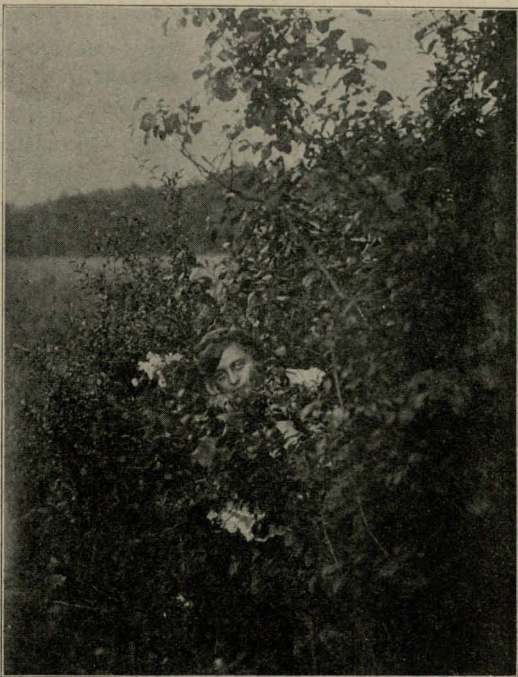
Bułgaria odczuwa brak rąk do pracy, i rzecz dziwna, ma niezmiernie mały procent obcych proletaryu-szów, a kolonistów cudzoziemskich wcale.

Konstytucya dla Bułgarii napisana była przez Rosyan i jest najliberalniejsza w Europie. Książę, a ra-czej popi, nie mogą być wybierani do Sobrania na po-słów. Głosowanie jest powszechne i tajne. Dzięki tej konstytucyi kraj szybko się cywilizuje i dojrzewa; sądzo-no, zdaje się, z początku inaczej.

Taki jest naród, który sobie sam wziął niepod-ległość i zrobił się królestwem. Jest on gotów tej nie-podległości bronić, a bronić potrafi. Nie napróżno wy-cinano w pięć setkami tysięcy bułgarską raję, w roku 1807 zginęło od noża band Parwana Ogłu z górą milion ludzi... a dziś! Dziś każdy Bułgar wie, że, jeśli cię kto chce okuć w kajdany niewoli, to się broń aż do śmierci, bo lepsza śmierć, niż niewola. Widziałem ludzi, mających po lat 45, którzy maszerowali od granic Dobrudży lub od Burgas pod Śliwnicę, dźwigając na so-bie dwa kożuchy, karabin Kruka i 400 ładunków po 6 na funt. Ludzie ci przyszli wieczorem do Śliwnicy, przespali się literalnie w błocie, a rano o 8 już pięli się po stromych skałach i spędzali karabinowym ogniem Serbów, okrążających główne pozycye armii bułgarskiej.

Widziałem zacięty i milczący entuzjazm zastępów ochotniczych, przysięgających na Ewangelię na głównym placu w Ruszczuku. Ścisnęło się serce, a łzy dawały.

Żał mi, że nie tam, za Dunajem modrym, że nie słyszę gromowych okrzyków szczęśliwego ludu, po skończonej 500-letniej niewoli: „Da dobrawa Błgaria, da żywieje Car na Błgariata”.



Babie lato.

BABIE LATO

Z CYKLU: „WIEŚ”.

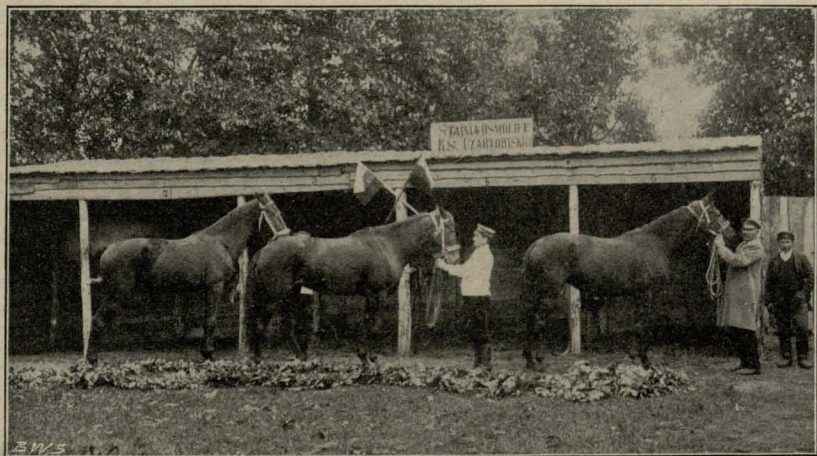
Babie lato...

Najpiękniejsza z legend ludu. Tylko w wyobraźni Narodu, co na swych wierzejach „gość w dom, Bóg w dom” wypisał, co obce tułaczce przygarniał, tylko w kraju, co, według słów Norwida, „sam się chylił po kruszynę chleba”, urodzić się mogła!

Najpiękniejsza z legend, przedziwnie dobra, litościwa, taka wszystkiemu cierpieniu, wszystkiej niedoli ludzkiej zaradna...

A taka rzewnie sieroca... jak ta ziemia, co ją wydała.

Przedzimek. Już chłodne ranki po rolach cho-



Stajnia Osmolice ks. Czartoryskich na wystawie w Łukowie.

dzą, zimne rosy proszą... Już ptactwo w cieplejsze kraje leci, już liść zawiedły pada...

A na ziemi, tej ziemi, co się do Częstochowskiej modli, co w szkaplerz święcony pierś zbroi, tych, co im i o koszulinę trudno—niemiara!

Są dziadule „o proszonem”, są sierotki u płota, są wdowy bezdomne, jest ból ludzki zawodzący i pacierz błagalny rozlega, jest choć o zgrzebną koszulę prośba gorąca...

Więc oto Litościwa Boska Pani na niebieskich do złocistych krosen siada, miękkie srebrne nici przędz'e i rzuca biednej ziemi dobrą ręką na świtki sieroce, na przyodziewek wdowi, a słońcu każe świecić i świecić, póki się wszystko potrzebne nie ogarnie...

I leci srebrna przędza ku ziemi, nad zagonami się przęśli, po opłotkach, po drzewinach białą nicią zaczepia—wszystko, nawet badyl przydrożny, przyodziewa.

A słońce świeci, jak za wiosny! jak za nadziei! jak nadzieją.

Babie lato...

Biała sukmanka mgieł porannych, ale z pod niej już pierś nagą ziemi widać: role orane, żebra skib, ota-

wy płowe, zieloną ruń wczesnych ozimin...

Wyrzało słońce... Już i oszywka różowa z rannej zorzy, nikiej czerwony kołnierzyk u miechowskiej kamizeli!

Hej! nad magierką stogów pawie pióro powiewa! Kołyszą się w ciepłym wiatorku olchy kępiaste, czerwieni koralami jarzab, błyskocze, kiej družbowa palma, osika trzęsąca!

Nikiej wesele krakowskie o jesieni! A ziemia, kiej młoducha! Spódniczka na niej barwista w deseń i kraty: rżyska, żytnie poletka, zagonki kapusty, redliny ziemniaków! i gorsecik aksamitny z czarnej roli w centki, padającym liściem tkany, i czepec ze słomianych strzech na płowym warkoczku łąk, rdzawą miedzą przewiązany...

Hej!

A babie lato leci i leci i wiąże, by stulą, zagon do zagona, stajonko do stajonka, chatę do chaty, wieś z wsią... Na jedną rodzinę w doli czy niedoli wiąże...

Babie lato...

Ostatnie siewy, ostatnie sprząty!

Ostatnie siewy. Zaszwała się ziemia w jesiennym słońcu, ale jeszcze na gorseczku pól czarnych miejsca dość, by w rodną karmiącą pierś pługiem sięgnąć.

Wyszedł Maciek z zajdką ziarna.. Trza jeszcze garść żyta rozrzucić...

Jeszcze i pora ciepła... babie lato, i we dworze sieją...

Aż dziwno! Czego-bo ludzie nie wymyślą! Dawniej czepek do świętej ziemi szedł jeno z gołymi rękami, a teraz maszyna za maszyną...

I zna, i młóca, i sieją maszyną...

A jak równiśko, jakbyś ziarno po ziarnku, na ten przykład, palicami sadził...

Aż dziwno... I u chłopów, już się, co bogatych, taki siewnik trafia. Podobno aż z Anglii z za morza go prowadzą, bo teraz od Niemca nikt za grosz nie kupi!

Ale co sieje! to sieje! Aż dziwno!

Babie lato... Ostatnie sprząty...

Na dziesiątej części polskiej ornej ziemi, rośnie, ośm milionów chłopów żywi, „chlebem ubogich” go mianują, a dotąd aż wstyd, z niemiecka „kartofel” zowią!..

Tylko na jednej kieleckiej ziemi, na jędrzejowskich półankach, na proszowskich wzgórzach, „ziemniakiem” go ochrzczili.

I dobrze!

Ziemniakiem jest, bo w ziemi do późnych chłódów trwa, bo tych, co z ziemi, żywi.



Komitet i grupa ziemianek na wystawie łukowskiej.

Ziemniakiem jest, bo go polskie namulone dłonie z ziemi dobywają, ziemniakiem, bo w pastuszych ogniskach pastuszej śpiewki o tej ziemi słucha...

A choć go jakiś czas niemiecką maszyną kopacz zaczęli, ale teraz, gdy angielski wyrób pobił niemiecką tandetę, gdy już i po dworach Ransome'a kopaczka polskiej ręce w pomoc przychodzi — jak wej! na Kujawach—toć może „ziemniakiem” wszecz i wzdłuż, jak to babie lato daleko leci, ostanie!

Babie lato...

Stara łukowska ziemia. Taż sama, co ją to ongi pani Halszka całą pono *zaskrzetuszczyła*...



Owce Oksdorfy Cz. Popławskiego w Łukowie.

I dzisiaj śnać kobiety tam rej wiodą.. A rej to ku dobremu prowadzący, ku wspólnej myśli i pracy.

Pracy na węgiel trwały.

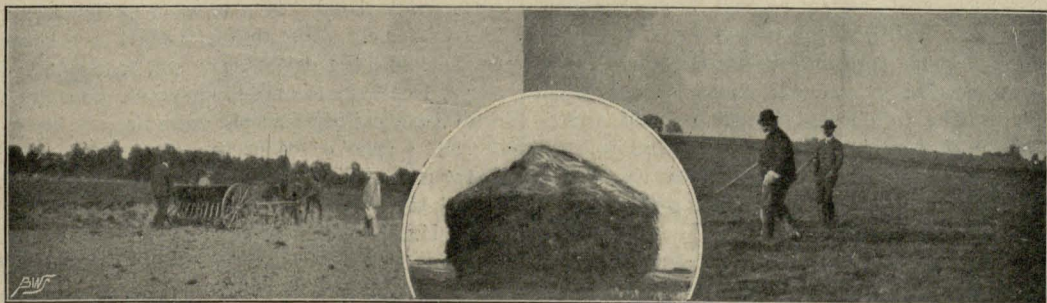
Więc cześć ci, „babie lato” łukowskie, pokłon wam, przęślice, w przyszłych leciech doli zapatrzone.

Niechże ta wasza przędza dobrej myśli, zacnej woli, szczerego ukochania snuje się, jak ta nić srebrna, nad całą i na całej naszej Ziemi.

Niechże legenda Ludu w czyn Narodu się zmieni, Przęślice! I leci...

K. LASKOWSKI.

Sz. prenumeratorów „Tygodnika ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał IV r. b.



Jesienią.

WIECZORY TEATRALNE.

Jubileuszowa „Aspazyja” Aleksandra Świętochowskiego, wystawiona w Teatrze Wielkim dnia 12-go października.

Był czas — w lat kilkanaście po ostatniej insurekcji naszej, kiedy nie wolno było pisać w prasie warszawskiej o... siedle króla Sobieskiego, budzącem rzekomo „narodowego ducha”, a w wydawnictwach książkowych nie wolno było używać nomenklatury „Litwa”, „Ukraina”, „Podole”, jako stojących rzekomo w związku z nieprawomyślnymi marzeniami o Polsce „od morza do morza”.

Im zaś dalej posuwano się w okres znanych konspiracji „nihilistycznych”, tem usilniej przestrzegano niedotykania u nas w druku żadnych zgoła kwestji społecznych, ustroju państwowego i t. p., w mniemaniu, że tym rzeczy składem samo istnienie tych kwestji do gruntu wyteplone zostanie.

Wówczas to pisarze nasi i publicyści, oczywiście nie dający się odciąć od... reszty świata pociąganiem czerwonego cenzorskiego atramentu, jęli, mniej lub więcej zrećnie, przetransponowywać kwestje aktualne na kanwę jak najbardziej dalekich okresów dziejowych.

Pod znakiem tej przymusowej maskarady stoi cały szereg np. utworów belletrystycznych, obrazków, artykułów, od których „klucze” miał każdy z czytelników — w kieszeni. Zakwitło na wcale szerokim obszarze piśmiennictwa naszego ówczesnego tego rodzaju łączenie absolutnej legalności z pewnym stopniem swobody piarskiej.

Nie sposób-że było przez lata całe pisać i czytać o stosunkach handlowych w... Guatemali lub na Jawie, albo o... węzu morskim!

Typowe cechy charakterystyczne dzieł literackich z tego okresu posiada pięcioaktowy „dramat historyczny” Aleksandra Świętochowskiego, „Aspazyja”. Znany on względnie dobrze inteligencji polskiej. Wiemy nie od dziś i nie od wczoraj, co trzymać o „historyczności” tego dramatu, który nie jest nawet tragedją. Wiemy przedewszystkiem dlatego, że Świętochowski nie ma nic w sobie z Francuza Leconte de Lisle'a, Niemca Platena, lub naszego Felicjana Faleńskiego. Nie jest bynajmniej pisarzem, wystylizowującym misterne i wykończone do najdrobniejszych szczegółów rekonstrukcje *temporis acti*. Nie do takich mu gabinetowych majstersztyków!...

Świętochowski jest, wyrażając się wulgarnie, zdeklarowanym „społecznikiem”. Dla popchnięcia naprzód danej sprawy społecznej buduje i popularyzuje systemy filozoficzne, pisze dzieła literackie i uprawia publicystykę. Zaś wysokiej skali artystą literackim jest, jak molierowski monsieur Jourdain: *sans le vouloir*. Nie potrafiłby napisać okresu, nie posiadającego cech, nawet bardzo wybitnych, piarskiego arcyzmu. Pozwoliłbym sobie nawet twierdzić, że ten wrodzony, nieprzecieżony nerw artystyczny czyni właśnie wytwórczość piarską Świętochowskiego mniej popularną, niżby on sam tego życzył.

Określając ściśle arcyzm piarski Świętochowskiego, powiedzieliby wolno, że jest on *par excellence*: stylizacją. Cóż np. ratuje jego utwory dramatyczne? Może zrećność i biegłość dramaturga? może nadzwyczajna świeżość pomysłów i głębokość filozoficzna? może świetne malowanie charakterów i stanu dusz? Ani to, ani owo. Wyśmienity, chciałoby się powiedzieć: niezrównany *styl* piarski, mieniący się, iskrzący, grający, suto przyszykany pięknymi obrazami i porównaniami, smaczny w przenośniach i hiperbolach, cięty w dosadnej satyrze, świeży w zwrotach, giętki niezmiernie, ćwiczony na najprzedniejszych mistrzach słowa, przepojony niepowszednią kulturą umysłu—oto czem stoją dzieła pi-



„Aspazyja”, dramat w pięciu aktach Aleksandra Świętochowskiego. Scena końcowa po wyroku niewinniającym. Aspazyja p. Marcello-Palińska, Perykles p. Knake-Zawadzki, Archont p. Leszczyński. Fot. J. Gołcz.

sarskie tegorocznego jubilatą, a w szczególności jego utwory, pisane—napozór—dla sceny.

Słusznie bardzo wybrano dla widowiska niedzielnego, jubileuszowego—„Aspazyję”, gdyż trudno o piękniejszy popis „stylu Świętochowskiego”.

Mniejsza, doprawdy, o to, co znajdziemy pod powłoką tego kunsztu piarskiego! Ani przecie zadziwi nas, ani porwie rozsnuta pod nim walka (rzekomo ateńska) zasad demokratyzmu i arystokratyzmu, jak ją pojmovano—u nas—między rokiem *post Christum natum* 1870—1880-tym. Wszak owo wszechwładztwo ludu, które Perykles przeciwstawia oligarchicznemu zakusom Tukidydesa, nawet pod piórem samego Świętochowskiego bankrutuje wobec... fatalnej ciemnoty ludu ateńskiego. Aspazyja namawia faktycznego autokratę ateńskiego, aby dał ludowi ateńskiemu... szkołę bezpłatną. Zbawienna nadzwyczaj rada. I gdyby ją był Perykles urzeczywistnił *przed* wydaniem Aten w samowolę nieokrzeseanej ciźby, uniknąłby przedewszystkiem sam tak skandalicznego procesu, jak ten, którego widownią jest akt ostatni sztuki. I filozof Anaksagoras nie byłby poszedł do więzienia, i boski Fidyasz nie zadałby sobie śmierci głodowej.

Na ostatek zaś: nie byłoby sztuki pięcioaktowej, zatytułowanej „Aspazyja”, trwającej do 1-szej godziny w nocy po ostatnim 25-ciominutowym antrakcie.

Nauki zaś i „tendencje”, zawarte w sztuce, nie rekompensują bynajmniej jej niepomierniej rozwlekłości. W gruncie rzeczy, podawane na początku, jakby wiatyk cudotwórczy: sofistyka napoty cyniczna Protagorasa i stoiczna filozofia Anaksagorasa w końcu w łeb biorą. Stoika Anaksagorasa, bardzo pięknie rozumującego o stoicznym poddawaniu się prawom przyrody, łamie z kretelem cios, uderzający go prosto—w serce. Cała spekulacja filozoficzna tyle mu pomogła w owym momencie, ile—umarłemu kadzidło...

O „Aspazyi” i wirujących po niej ideach można by oczywiście napisać tom, dwa tomy, trzy... naprzemiany to sprzecząc się, to godząc z autorem. Nie miejsce tu na tego rodzaju dysertacje.

Nolens volens wypadnie mi ograniczyć się do zaznaczenia, że pomimo całej swej książkowej, a niescenicznej literackości, sztuka wywarła nadspodziewanie dobre wrażenie. Jest w niej naogół niezaprzeczone—wspaniałość. Nie dzieje się w niej żadna „porwijająca” akcja, lecz wszystko razem utrzymane do końca w pewnej szlachetnej dystynkcji, zniewalającej do słuchania długich i mało ożywionych pięciu aktów—z zajęciem. Jest w tem wszystkiem więcej istotnej górnosci, niż szczydłowej koturnowości.

Utwór to dobrej—szkoły piarskiej.

— Uczeń to mój; lecz nie moja to nauka!—powiada Anaksagoras, wskazując na Eurypidesa, mówiącego o rodzie niewieścim rzeczy, nie mające pod sobą zbyt ścisłej podstawy.

Mogliby wielcy piarsze wyrazić się w ten sposób—o Świętochowskim.

Jak wiadomo, rozplanowany na trzy dni jubileusz niepospolitego pisarza nie mógł się odbyć. W ostatniej chwili święcenie uroczystości zostało—wzbronione. Atoli komitet jubileuszowy zdążył ukonstytuować dla premiery „Aspazyi” pełną do ostatniego miejsca i doskonale usposobioną salę teatralną. Sala teatralna *taka*, jak ta, która „Aspazyi” wysłuchała, wysłuchałaby z nie słabnącym nabożeństwem nie pięciu, lecz dziesięciu, a może nawet i piętnastu aktów. Przyszło się przecie dlatego; przygotowano się na odświeżenie od *a* do *z* uroczystości; miano gorącą chęć uczcić Świętochowskiego! To też po razy kilka po każdym akcie wywoływano—artystów, a nawet ze sfer górnych rozległy się okrzyki: autor! autor! pomimo iż na sali wiedziano dobrze, że Świętochowski, niedysponowa-

ny i zmęczony dniem jubileuszowym, wieczór spędza—w łóżku, biesiadując z prof. Bujwidem.

Trafną pomysłowością wiedziony, p. Rapacki, grający Anaksagorasa, wziął na się arcy-podobne rysy—autora-jubilata. Oklaskiwano tedy Świętochowskiego, by się tak wyrazić: *in effigie*.

Wystawiono zaś sztukę bardzo okazale. Akt piąty, dziejący się na forum (na agorze) Aten, wobec tłumy, biorącego gorący udział w rozprawie sądowej, wybornie wyreżyserowany, pomimo rozwlekłych mów oskarżycieli i obrońców, sprawił, jako obraz, silne i niepowszednie wrażenie. Szkoła aplikacyjna teatrów rządowych, wstępująca w scenach zbiorowych, popisała się jak najlepiej. Z długiego szeregu osób działających podkreśliłbym mocno grę i dykcję p. Kotarbińskiego (Protagoras), wnijkającą z pełnym zrozumieniem w całokształt dzieła i w rolę; okazała i malowniczą postać Peryklesa (p. Knake-Zawadzki), p. Lüde (Elpinika) oraz wywiązanie się z niełatwego zadania przez p. Bednarczyka (Sokrates). Naogół—uczyniono wszystko, co było możliwe.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Fałszywa opinia.

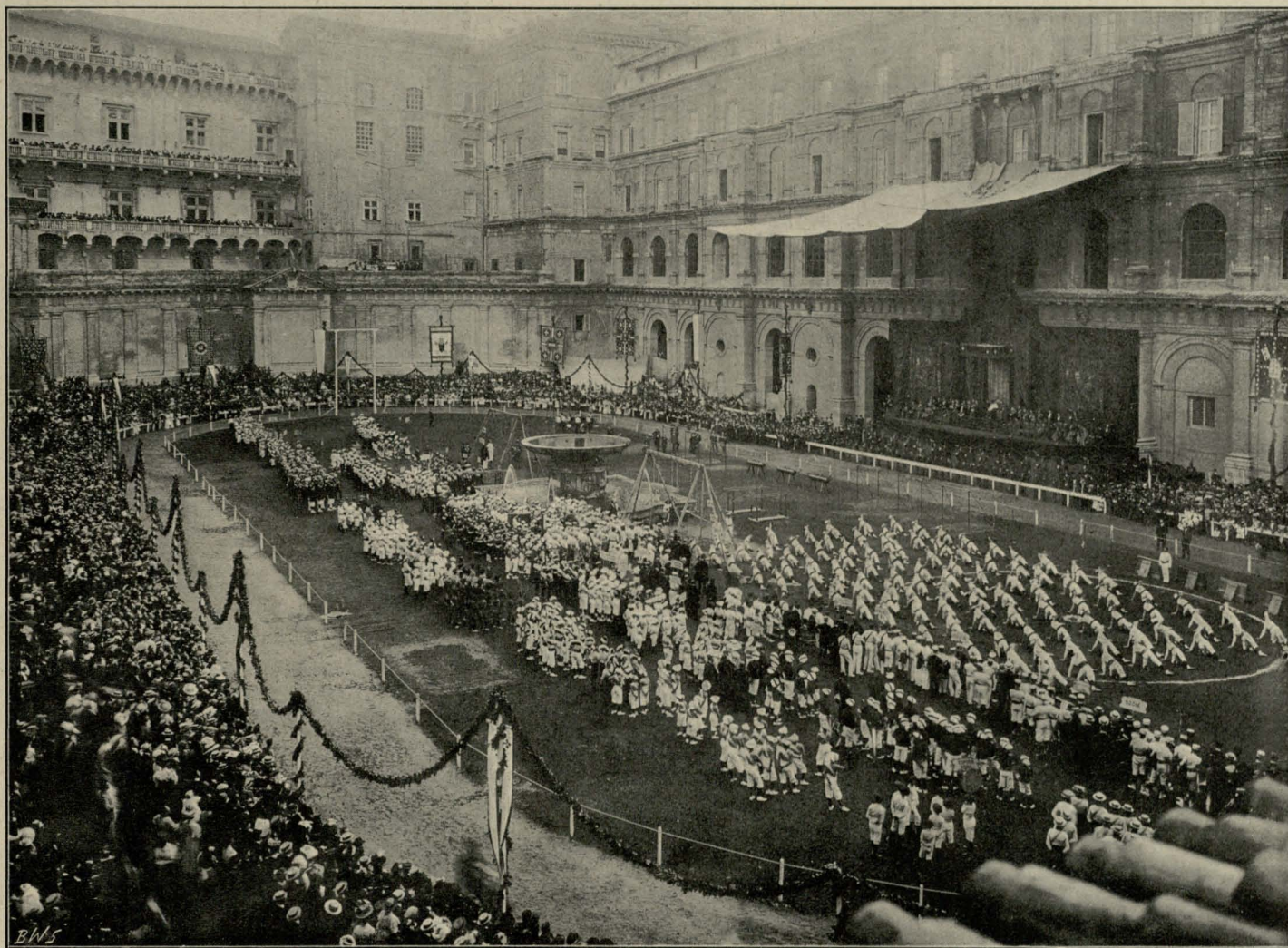
Od pewnego czasu społeczeństwo nasze źle się bawi.

Po salonach, klubach, na letniskach czy w miejscach kąpielowych, krążą w formie mniej lub więcej subtelnego dowcipu—ploteczki, igrające z rzeczą dla człowieka najświętszą i najcenniejszą, gdyż—z honorem ludzkim...

Oto pani X., kołyszając się w wygodnym fotelu na werandzie, gawędzi od niechcenia ze swoją przyjaciółką: — Czy wiesz, *ma chère*?... Byłam niedawno na pewnym zebraniu i poznałam tam niesłychanie miłą osobę, p. Z. Ładna, wytworna, inteligentna, ujmująca, robi wrażenie wcale nie banalne. Byłam nią wprost zachwycona!...

— Ach tak... Ona jest wistocie zachwycająca, a zwłaszcza w towarzystwie męskim!... Spotkałam ją kiedyś na ulicy, wiodącą bardzo ożywioną rozmowę z panem S., słyszałam nawet, że cieszy się on—szczególnymi jej względami...

— Czy być może? A ja właśnie odniosłam wrażenie, że jest najlepszą w świecie matką i żoną!...



Uroczystość jubileuszowa Piusa X. Turniej gimnastyczny międzynarodowy w Watykanie. Najpopularniejszą, że się tak wyrażę, częścią uroczystości jubileuszowych kapłaństwa Piusa X-go był wielki międzynarodowy turniej gimnastyczny młodzieży, który odbył się od 23 do 28 września, w dziedzińcu del Belvedere, w Watykanie. Ostatniego dnia, na zamknięcie ćwiczeń, papież sam był obecny, przypatrywał się z estrady, umyślnie przygotowanej, i, przyjmując następnie zastępy młodzieży, miał do nich przemowę. A nie miały to być zbiór gimnastyków. Około

90 towarzystw, z 2500 członkami, z Kanady, Irlandii, Belgii, Francji i Włoch, wzięło udział w święcie młodości i siły fizycznej. Najlepiej przedstawiali się Kanadyjczycy z Montréal, silne, wysokie zuchy, i tem także osobliwi, że wykonywali swoje ćwiczenia przy odgłosie kobz i śpiewów narodowych! Dziedziniec Belwederu, w którym jeszcze w XVI wieku odbywały się rycerskie konne turnieje, był obecnie świadkiem racjonalniejszej kultury ciała u młodzieży, nadziei przyszłych pokoleń. Natomiast do biegów na szybkość użyto ogrodów watykańskich D.

— No, ja ci tylko powtarzam, moja droga, to, co mi mówiono... Ale wiesz... *A propos!*... Wczoraj był u nas kuzyn Stefan, który świeżo powrócił z Karlsbadu. Przejeżdżając, bawił dni parę w Dreźnie, i tam, w Galerii, spotkał tę młodziutką operową divę, pannę M., *en deus*—zgadnij z kim?... Z dyrektorem R. Ładna historia. Nieprawdaż?...

— Co mówisz!... Doprawdy?... Ależ to skandal. Nigdybym się tego po niej nie spodziewała...

I tak dalej, a dalej, gawędzą sobie nasze panie, robiąc w najniewinniejszy sposób z osób znacznych, godnych i uczciwych—błyskotliwe motyle, polne koniki, i ...kukułki.

Nie lepiej też dzieje się pośród mężczyzn. Mówi się czasem o kimś, ot, byle coś powiedzieć, a że znowu przyjemnie jest pochwalić się jakąś „ciekawą” znajomością, a zwłaszcza jakimś sukcesem, i dobrze jest niekiedy ożywić apatyczne towarzystwo w fumoірze jakimś świeżym skandalikiem, snuje się więc naprędce, na podstawie nikłej, jak sieć pajęcza, cały poemat, cały romans lub tajemniczą tragedję, nie zastanawiając się ani na chwilę, że osoby, służące za temat do tej dowcipnej, pieprzonej rozmowy, jako nieobecne, stoją bezbronnie, tracąc tylko, jak kwiat, zwarzony mrozem, pod pręgierzem tej żartobliwej a fałszywej opinii, ze swej kraszy—liść po liściu...

A niewinna ta napozór ploteczka ma jeszcze i tę własność, iż nie przebrzmiewa wraz ze słowami swego twórcy. Niesiona z ust do ust, żartem, szeptem, kraszona znaczącym zmrużeniem oka, rośnie wszczęd i wzdłuż, obejmując coraz liczniejsze koło chętnych słuchaczy, aż wyrasta wreszcie na... „tajemnicę publiczną”.

Więc napozór jest to drobiazg, *passe-temps*, sport, tak dobry, jak każdy inny, ale w gruncie rzeczy

to rak, toczący społeczeństwo nasze w zatruwający sposób!...

Idziemy bowiem logicznym krokiem ku czasom, które, wraz z różnymi istotnymi dorobkami ewolucji, wnoszą w społeczeństwo nasze zatracenie wszelkich cnót, ideałów i rzeczywistej wartości jednostek.

Prawość, uczciwość, honor, godność zejdą powoli do czczych i pustych dźwięków... Sięgnijmy nieco pamięcią... Ileż bowiem razy zdarza się nam czytać pośmiertne wspomnienie, podnoszące zasługi zmarłego do jakiejś wprost mitycznej potęgi!... Jeżeli jest w tem część prawdy, zmarły urasta postacią do niezastąpionego w swym kraju bojownika-bohatera. A jakże często spotykamy wystawiane cnoty „najczcigodniejszej obywatelki”, ze zdumieniem zapytując siebie samych: „Jakto? Jesteż to ta sama, ta, której zasługom oddają hołd aż tak głęboki; znaliśmy ją przecież tak dobrze, jako kobietę, która, prócz zalet towarzyskich i przeciętnego charakteru, nie zrobiła w życiu nic głębszego, nic trwalszego—ba, widzieliśmy ją nawet nieraz w okolicznościach, nie mających z tak głęboką czcią zgoła nic wspólnego”...

Tu jest już wina ogółu, który się zadawała fałszywą monetą, i jest też wina prasy... Wszak mamy pisma, które na nagłówek kreślą sobie szczytną dewizę, iż służyć pragną wyłącznie „Pięknu i l'rawdzie”... Niechże więc nie będzie im wolno służyć zarazem płatnej reklamie, obalamującej opinię!...

W jakim bowiem sposób uczcimy potem zasługi tych cichych a gorliwych pracowników, którzy przez całe swe życie orali pługiem twardą glebę szczytnej idei, aż wreszcie w pracy tej pług swój starli?... W jakichże wtedy słowach dowie się o nich winne im wdzięczność—własne społeczeństwo?...

Tymczasem polip fałszywej plotki rozgałęzia swe

ramiona coraz szerzej, dotykając lepką swą macką tak umarłych, jak żywych, a z nimi wszelkie odłamy warstw społecznych.

A oto przykład.

Kupiec X., nasz dostawca, wystawił sobie po wielu latach mozolnej pracy—własny magazyn...

— Słuchaj, czy to być może—pyta jeden drugiego—aby on doszedł do takiego majątku w godziwy sposób?... Taki wspaniały dom, musi przecież kosztować mnóstwo pieniędzy!...

— Ach, rozumie się, że w tem coś jest!... Musiał dobrze wyzyskiwać swoich współpracowników, nie wiem, ale niezawodnie!... Marnie bardzo płacił dostawcom, no a na towarze stawał niesłychanie wygórowane ceny... Ja sam byłem jego długoletnim klientem i przyczyniłem się z pewnością niemało do tego majątku, właściwie więc ten dom to i za moje pieniądze... A przytem wiecie?... (Tu zniża głos dyskretnie). Słyszałem, zdaje się, że to o nim, że podobno prowadzi swój handel nie zawsze czysto!... Co on tam robi, tego dobrze nie wiem—ale jeżeli tak jest?... Już to dzisiaj takie czasy, że najłatwiej robić interesy z cudzej skóry. Trzeba tylko umieć!...

Mówi się to jednak tak głośno, że słyszą sąsiedzi, i oczywiście wiadomość idzie pantoflową pocztą coraz dalej.

I oto dobra sława człowieka, który pracował na nią uczciwie przez lat wiele, jest odrazu poddana wątpliwości, zachwiana. Ale przecież wieść taka krąży między ludźmi „pocichu”, obronić się przed nią niema sposobu!...

A teraz drugi przykład.

P. N., znany całemu miastu, jest człowiekiem dobrze wychowanym, sympatycznym, a fachowe zajęcia nie przeszkadza mu brać udziału w życiu publicznym

i towarzyskiem, do czego ma wszelkie dane. Nagle zaczyna między ludźmi krążyć o nim potworna plotka!... Powtarza się ją cicho, niezmiernie cicho—i nikt nie może powiedzieć, skąd się właściwie o niej dowiedział... Niemniej jednak nieszczęsny N. spotyka coraz więcej niechętnych, unikających go osób, coraz więcej spojrzeń nieufnych i pogardliwych, aż dochodzi do tego, iż jest w szerokiej opinii najzupełniej zgubiony!...

I dlaczego, za co, po co?... Skąd powstała ta ohydna wiadomość, której przecież nikt nie sprawdzi?... Czyje zmyśliły ją pierwsze zjadliwe usta?...

Więc nie pozwólmy społeczeństwu naszemu, czy pojedynczym jego członkom upaść tak nisko, aby ztracić miało miarę różnicy, co jest w życiu występkiem, a co cnotą, co jest uczciwie podjętą pracą, a co wygórowaną własną ambycją, i nie igrajmy z lekkością bawiącego tłumy kłowna z rzeczą tak cenną—jaką jest ludzka godność. Gdyż, zaprawdę, to lekkomyślne „oszczerstwo” i ta subtelna, w towarzystwie uprawiana „potwarz” to takie lepkie, ciemne kwiaty, rosnące dziko na śmietniskach, które—ręce, co je zrywają, przedewszystkiem kalają i czernią...

A W—A.

Sławny gość-rodak.

Od niedawna bawi w Warszawie rodak nasz, wysoko postawiony dostojnik włoski, Gustaw Konstanty Jaraczewski, generał-adjutant króla Humberta I.

Jest to postać, ciesząca się wielką popularnością we współczesnej ziemi włoskiej, na której zdobył wszystkie swoje zaszczyty i dostojęstwa. Już od roku 1864 po ukończeniu szkół w Paryżu znalazł się tam, wstępując jako ochotnik do armii włoskiej. Wkrótce zdolnemu i młodemu oficerowi, jakim był obecny generał-adjutant Jaraczewski, powierzono wytepienie grasujących podówczas dobrze zorganizowanych zastępów bandyckich. Z zadania swego wywiązał się dobrze i szybko. Osaczył jedną z największych band w Rionero i zniósł ją doszczętnie, kładąc trupem zbrodniczego przywódcę Volonina. Czyn ten szeroko rozstawiły dzienniki włoskie, i od tej po-



Gustaw Jaraczewski.

ry imię naszego rodaka stało się głośnie.

W roku 1871 zaawansował na kapitana w pułku huzarów Piaceura i został adjutantem generała Władysława Bnińskiego, wspólnie reorganizując kawalerię włoską. Rozpoczęte dzieło znowu powiodło się szczęśliwie, gdyż wszyscy jednogłośnie przypisują znaczenie i rozwój doskonałej współczesnej kawalerii włoskiej naszemu rodakowi. To też nic dziwnego, iż wobec położonych zasług Gustaw Jaraczewski w r. 1880 został mianowany majorem, a w dwa lata później osobistym adjutantem króla Humberta I-go. Od tej pory zaszczyty i dostojęstwa nie omijały go jeszcze częściej.

W roku 1893, kiedy z okazji srebrnego wesela królewskiej pary włoskiej odbył się turniej kawalerski w Rzymie, Jaraczewskiemu powierzono naczelne kierownictwo i obdarowano wspaniałym brylantowym łańcuchem, a w r. 1898 udzielono mu najwyższego orderu korony włoskiej i zamianowano generał-porucznikiem wraz z tytułem komandora korony włoskiej.

Obecnie generał Jaraczewski gości w Warszawie, u swego krewnego, p. Antoniego Jaraczewskiego, odwiedzając również swoich kuzynów, zamieszkałych na prowincji.

Do bardzo miłych cech wysokiego dostojnika włoskiego należy to, iż doskonale włada językiem polskim, pielęgnując skarby rodzinnej mowy, oraz że sprawami kraju i rodaków interesuje się szczerze i gorąco.

Grób Jurgensa.

Cicho i skromnie, bez pompy żałobnej, odbyła się w sobotę ubiegłą uroczystość poświęcenia nagrobka na mogile jednego z najczystszych i najszlachetniejszych przedstawicieli epoki minionej. Od 45-ciu lat spoczywały na cmentarzu ewangelickim w Warszawie prochy tego czciociela idei, który płonął duchem, jak gwiazda świetlanego blasku, a odszedł z ziemi, ukochanej całą potęgą serca, umęczony potwornością życia.

Jakże smutne wrażenie wywierała na obecnych ten obchód, tragiczny w swej prostocie i we wspomnieniach bolesnych skąpany. W nekrologach zapraszano na poświęcenie pomnika wszystkich „szanujących pamięć zmarłego”. I oto garstka z 40 zaledwie osób stanęła obok głazu, na którym widniał napis:

Ś. † P.

EDWARD JURGENS

ZM. 2 SIERPNIA 1863 R. W CYTADELI.

ZDROWĄ MYŚLĄ

SŁUŻYŁ OJCZYŹNIE.

W cudowny, słoneczny dzień jesienny spadły na pomnik Jurgensa żałobne słowa pamięci i żalu. Sięgnęły one w głębinę grobu i przenikły do tej garści popiołu, która niegdyś tak płomienie czuła i cierpiała tak wiele. My, którzy staliśmy nad grobem, pełnię smutku uczuliśmy w sercu, nie dlatego, że Jurgens umarł, bo umarł, jak ów, z którego prochów powstaje nowe życie, ale dlatego, że tak mało, tak rozpaczliwie mało stało się u tej szlachetnej, uświęconej mogiły.

I mimowoli snuła się w myśli trawestacja mickiewiczowskiego wiersza:

„Biada ludom, co swoich nie uczczą proroków“.

„SFINKS“.

W ostatnim podwójnym (za sierpień i wrzesień) zeszytce *Sfinksa* Wł. Bukowiński poświęca pamięci Asnyka doskonały, niezmiernie trafny artykuł p. t. „Poeta melody i głębin”. Jest to rzecz pełna zrozumienia i odczucia jednego z największych poetów na-



Portret Asnyka (dodatek do „Sfinksa”). Rys. J. Malczewski.

szych. W zeszytce tym znajdujemy również dwa nie objęte wydaniem zbiorowem wiersze Asnyka i dwa jego portrety, z których jeden, Malczewskiego, reprodukuje w *Tygodniku*. Poza tem numer *Sfinksa* przedstawia się, jak zwykle, okazale. Dalsze ciągi powieści Micińskiego i Rygier-Nałkowskiej, Przybyszewskiego „Szlakiem Kaina”, J. Kleczyńskiego świetna „Rzeźba



Grób Jurgensa na cmentarzu ewangelickim.

współczesna”, Norwida: „Odczyty o Juliuszu Słowackim”, Antoniego Szecha: „Pamięci Jana Adamowicza”, doskonale przekład z Owidyusza: „Sztuki kochania” przez J. Jankowskiego i cały szereg poezji składają się na całość o wysokim poziomie literackim. Redaktorowi Bukowińskiemu powinszować można szczerze, życzymy mu powodzenia, na jakie w zupełności zasługuje.

Z PRASY.

Od 1-go października zaczęto wychodzić w Warszawie nowe pismo p. t. *Wiadomości Codzienne*. Kierownikiem literackim *Wiadomości* jest znany literat i publicysta, p. Ludwik Włodek, którego prace często zamieszczała i nasz *Tygodnik*. Nowe pismo od pierwszego numeru przedstawia się nader zajmująco.

Wobec zawieruchy politycznej na Bałkanach.

Trwoga, wywołana przez obecną sytuację na Bałkanach, wzmaga się coraz bardziej...

Telegraf przyniósł szereg wieści o serbskiej, rumuńskiej, greckiej, bułgarskiej, tureckiej, a nawet czarnogórskiej mobilizacji; prócz tego w Serbii odbywają się bez przerwy namietne demonstracje, skierowane przeciw Austro-Węgrom. Prasa europejska: włoska, francuska i angielska, nie ukrywa bynajmniej swego oburzenia z racji nieoczekiwanych niespodzianek, wywołanych przez jakiegoś zakulisowego reżysera na półwyspie Bałkańskim. Ogólne mniemanie prasy sprowadza się do tego, że to Austro-Węgry zrećnie popchnęły Bułgarię do złamania traktatu berlińskiego, by przy okazji zagarnąć ostatecznie Bośnię i Hercegowinę. Niektóre z pism podejrzewają prócz tego, iż za kulisami współczesnej sceny politycznej ukrywają się wraz z Austro-Węgrami Niemcy, które coraz jaśniej wykazują swoją arogancję wobec całej Europy.

Mniej więcej jednogłośnie wszyscy politycy wyraźnie zaznaczają potrzebę zapobieżenia zbrojnej akcji na gruncie bałkańskim. Dyplomaci różnych państw nie przestają naradzać się pomiędzy sobą; odrębne listy austriackiego cesarza rozlane zostały do kilku monarchów większych państw i do prezydenta republiki Francuskiej.

Wobec całej obecnej sytuacji coraz większego prawdopodobieństwa nabiera zwołanie europejskiego kongresu do Paryża dla rewizji traktatu berlińskiego i wyjścia z tych międzynarodowych zawikłań, do jakich doprowadziło jego złamanie.

Wogóle współczesny stan polityczny Europy wysunął kilka problemów w stosunku do niedalekiej już przyszłości. Główny z nich jest taki: czy zdoła kongres europejski pokojową drogą usunąć wszelkie szkopuły, zanim zagrzmi pierwsza salwa bojowa na Bałkanach, i czy nie będzie to sygnałem wielkiej wojny europejskiej.

W każdym razie, czy będzie tak czy inaczej, przewidywać tylko można, tem więcej, iż obecnie cała uwaga większych mocarstw skierowana jest ku temu, by uspokoić namiętności narodów bałkańskich i pobudzić je do oczekiwania kongresu.

Ciekawa rzecz jednak, czy kongres, o ile dojdzie do skutku, po dawnemu zajmie się jedynie symptomatycznym leczeniem choroby, czy też stworzy takie zmiany, które zabezpieczą pokojowy i swobodny rozwój wszystkim narodowościom?

Szczególnie ciekawe i ważne będzie to dla nas...

Nasze ryciny.

Do artykułu prof. Ignacego Chrzanowskiego p. t. „Trzecia część *Dziadów* wobec prawdy dziejowej“ damy widoki miejscowości, najbardziej uczęszczanych przez młodzież filarecką: Zakretu nad Wilią (według sztychu z pierwszej połowy XIX w.) oraz Markuc, przedmieścia Wilna; nadto portrety przyjaciół Mickiewicza: Feliksa Kułakowskiego, Adama Suzina i Onufrego Pietraszkiewicza. Wizerunek Kułakowskiego reprodukowany jest po raz pierwszy według autentycznego portretu, będącego w posiadaniu rodziny.

Osobiste.

Bolesław Prus powrócił po letnich wywczasach do Warszawy.

Deklaracja autorów.

Z powodu wprowadzonej przez St. Żeromskiego na książki „Duma o Hetmanie“ autorskiej marki ochronnej, nakoniec podniesiono w prasie pierwszorzędą sprawę zupełnej bezczynności autorów polskich w stosunku do wydawców. Głos taki dawno powinien być się odezwać, a gdy raz się ozwał, nie może przebrzmieć bez skutków nieodzownych, bez zmian kategorycznych w tej sferze wszystkim wiadomych, a zupełnie zbyteczną tajemnicą osłanianych niemoralnych stosunków.

Protest księgarzy, orzekający, iż „nie wolno nikomu za przewinienia może jakiegś jednostki rzucać kalu-

nię na całe księgarstwo wydawnicze polskie“, stara się przedstawić stosunki te w świetle idyllicznej błogości, szczerze czy nieszczerze, nie chcemy w to wchodzić.

Wobec próby jednak zamknięcia w ten sposób sprawy, uważamy za stosowne stwierdzić kategorycznie, iż położenie autorów naszych nie tylko nie ma z idyllą nic wspólnego, ale jest poprostu opłakane; iż konieczne są reformy, ważne dwustronnie kontrakty między literatami i wydawcami, ścisłe prawo kontroli dla pierwszych, usunięcie dla autorów „zawodowych tajemnic“ drukarskich i księgarskich, modyfikacje w stosunku honoraryów i wogóle sprowadzenie mniemanego mecenasostwa wydawców do właściwej miary zwykłego pośrednictwa.

Inicyatywa, dana przez Żeromskiego i Lorentowicza, musi mieć swój ciąg dalszy. Autorowie muszą się zorganizować, obmyśleć takie czy inne środki dla obrony swych praw, wyjść z dzisiejszej przewróconej do góry nogami nierówności i wprowadzić zamiast wymaganego przez księgarzy jednostronnego zaufania, wyraźne i jasne zobowiązania obustronne. *Clara pacis claros faciant amicos.* Wtedy wszystkie skargi na kalumnii staną się zbyteczne.

Ignacy Baliński, Andrzej Baumfeld, Leo Belmont, Jan Belcikowski, Zygmunt Bartkiewicz, Wacław Berent, Kazimierz Bleszyński, Władysław Bogusławski, Kazimierz Broniewski, Władysław Bukowinski, Ksawery Chamiec, Bronisław Chlebowski, Teodor Jeske-Choiński, Ignacy Chrzanowski, Jan Cieśliński, Eustachy Czekalski, Mikołaj Czerny, Gustaw Daniłowski, J. Władysław Dawid, Celina Dąbrowska, Zdzisław Dębicki, Jan Dmochowski, Kazimierz Ehrenberg, Wilhelm Feldman, Dr Maurycy Flaum, Stefan Gacki, Gamaston, H. O. Garlikowska, Maryan Gawalewicz, Antoni Gawiński, Artur Gliszczynski, Kazimierz Gliński, Wiktor Gomulicki, Bolesław Gorczyński, Artur Górski, Ignacy Grabowski, Edward Grabowiecki, Wacław Grubiński, Hajota, Aleksander Jabłonowski, Władysław Jabłonowski, Czesław Jankowski, Tadeusz Jaroszyński, Kazimierz Jul. Jasiński, Jordan, Jan Kasprowicz, Kazimierz Kasperski, Gabriel Kempner, St. A. Kempner, Stanisław Kętrzyński, Stefan Kiedrzyński, Jan August Kisielewski, Jan Kleczyński, J. K. Kochanowski, Tadeusz Konczyński, Janusz Korczak, Wincenty Kosiakiewicz, Stanisław Koszutki, Ludwika Jahołkowska-Koszutka, Br. W. Korotyński, Tadeusz Korzon, Józef Kotarbiński, Stanisław Kozłowski, Antoni Krasnowolski, Aleksander Kraushar, Stanisław Krzemiński, Ludwik Krzywicki, Stefan Krzywoszewski, Anatol Krzyżanowski Stanisław Lack, Kazimierz Laskowski, Jan Lemański, Bolesław Leśmian, Jan Lewiński, Jan Lorentowicz, Jan Łada, Melania Łaganowska, Karol Łaganowski, Marya Łopuszańska, Wacław Makowski, Marya Markowska, Ignacy Matuszewski, Miriam, Tadeusz Miciński, Antoni Miecznik, Sławomir Miklaszewski, Iza

Moszczeńska, Wacław Nałkowski, Anna Nałkowska, Zofia Rygiernalkowska, Bronisława Neufeldówna, Andrzej Niemojewski, Adolf Nowaczyński, Stanisława Okołowiczówna, Gustaw Olechowski, Henryk Opieński, Władysław Orkan, Or-Ot (Artur Oppman, Jerzy Orwicz, Waldemar Osterloff, Ostoja (Sawicka), Zenon Pietkiewicz, Antoni Pilecki, Aleksander Poliński, Bronisław Piłsudski, M. M. Poznanski, Zygmunt Przybylski, Stanisław Przybyszewski, Fr. Pułaski, H. St. Pytliński, Władysław Rabski, Zuzanna Rabska, Marya Rakowska, Wincenty Rapacki, Władysław St. Reymont, Zygmunt Różycki, Jan Rundbaken, Henryk Rygiel, Leon Rygiel, Savitri, Zofia Seidlerowa, Stefan Sierzputowski, Wacław Sieroszewski, Adam Grzymała Siedlecki, Edward Stoński, Władysław Smoleński, Mieczysław Srokowski, Leopold Staff, Adolf Strzelecki, Aleksandra Suszczyńska, Aleksander Szczęsny, Wojciech Szukiewicz, Michał Synoradzki, Artur Śliwiński, Julian Adolf Święcicki, Aleksander Świętochowski, Jan Tur, Marya Turzyma, Tadeusz Ulanowski, J. Ursyn, Cecylia Walewska, Zygmunt Wasilewski, Maryan Wawrzeńczyk, Feliks Wermiński, Marya Weryho, Władysław Weryho, Wacław Wolski, Adam Zakrzewski, Wład. Jastrz. Zalewski, Władysław Zalewski, Kazimierz Zalewski, Barbara Zan, Maryusz Zaruski, Maryan Zbrowski, D. Zgliński, Stefan Żeromski.

Z żałobnej karty.

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł znany w szerokich kołach naszego miasta inżynier Adam Koszutki, naczelnik wydziału eksploatacji wodociągów miejskich.

Działalność zmarłego, rozpoczęta od r. 1882, kiedy wstąpił do zarządu kanalizacji, za-

wsze była bardzo owocną i pożyteczną, przyczyniając się do sanitarnego uzdrowienia naszego miasta. Jako człowiek prywatny, odznaczał się łagodnością, taktem i nadzwyczajną uczynnością dla tych wszystkich, którzy z nim się stykali w życiu. To też szczerzy żał towarzyszy stracie dzielnego inżyniera i zacnego człowieka.



Adam Koszutki.

NADESŁANE.

PASKI DAMSKIE gumowe, gurtowe, skórkowe i szycowogumowe
oraz **TOREBKI DAMSKIE**

w wielkim wyborze poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

MEBLE

ZALEŃSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1-sze i 2-gie piętro.

Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

LEKARZ DENTYSTA

A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia

Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI
„APOLLO“
nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33, Senatorska.

TYLKO Z WINO ST. RAPHAEL
POZYWNE I WZMACNIAJĄCE

Żądać wszędzie z aniołem.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE
Bronisław Krug
Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator 7.
Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOLE,
ORGANY,
MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

MAISON „SPLENDID“
MAGAZYN
BIELIZNY PARYSKIEJ
i
Bluzek wiedeńskich
Warszawa, Czysta 2.
Telefon 190.20.

SALON „ARS“
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

JÓZEF FRAGET



FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod
własnym zarządem. Centrum miasta.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4,
Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomysły w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada mydło „Tataro-Chmielowe“, wyrabiane w „Centralnem Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.

Sprzedaż w składach aptecznych.

ZAKŁAD OGRODNICZY
C. ULRICHA

w Warszawie, Ceglana 11.

Poleca na nadchodzący jesienny czas sadzenia wielkie zapasy drzew owocowych w koronach (około 400 tysięcy). Drzewa i krzewy ozdobne, drzewa iglaste, róże i t. p. Katalog drzew wysyła się na żądanie.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrowej w Ciechocinku **Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy** Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście № 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa

Wyłączna sprzedaż oryginalnych sławuckich
BUREK, PELERYN i KURTEK,
BUTÓW filcowych, **KAFTANÓW,**
KOSZULEK, KALESONÓW wełnianych
SERDAKÓW męskich, **UBRAŃ** zamszowych
PLEDY, DERY na konie,

poleca magazyn przyborów podróżnych

J. ROKICKI i S-ka

Warszawa, Nowo-Senatorska Nr 1 (hotel Rzymski).

Ceny fabryczne.

Cenniki gratis.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

BÓG WOJNY

(Napoleon w Warszawie. Rok 1812), dramat w jednym akcie. Cena rb. 1.35. Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Tamże

CAR DYMITR JOANNOWICZ

Cena rub. 2 kop. 40.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych, Oliwa usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, Bandaże elektryczne usuwają rupturę, nie krepują ruchów od rb. 6, Przepaski higieniczne Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w dobrym gatunku. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo

SZKOŁA MALARSTWA

(DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)

Leonarda Stroynowskiego

W KRAKOWIE.

Gołębia Nr 14.

Denaturowany spirytus.

Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.

B-CIA WIŚNIEWSKY I S-ka
Foksal 10, Telefon 3069.

ZABAWKI

Gry salonowe, Kotyliowe przybory, Witraże do okien. Filtry do wody. Nowości paryskie. Katalogi franco. MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).